MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 32. WARSZAWA, 29 LIPCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

LOCARNO WSCHODNIE

OD JESIENI roku ubiegłego rząd moskiewski czynił w Paryżu starania o zbliżenie z Francją, o zapewnienie Rosji bezpieczeństwa na froncie zachodnim. Rząd sowiecki nie zrażał się trudnościami, jakie napotykał w Paryżu i ponawiał swe propozycje sześciokrotnie z uporczywością, z poza której wyzierała gotowość zwrócenia tych propozycyj w całkiem odmiennym kierunku, gdyby nie znalazły one zrozumienia nad Sekwaną. Wreszcie 28 czerwca w „*Paris Soir*" ukazał się wywiad p. Litwinowa, skierowany do tego samego celu. P. Litwinow nie wierzy ani w skuteczność rozbrojenia ani w pakty o nieagresji. Za jedyny sposób zapewnienia bezpieczeństwa uważa pakty wzajemnej pomocy.

8 lipca ministrowie francuscy wyjechali do Londynu, przedtem jednak rząd polski został poinformowany o planach, z jakiemi przedstawiciele rządu francuskiego udają się do stolicy Wielkiej Brytanji.

A więc Locarno Wschodu, — ściślej mówiąc zbiorowe pakty wzajemnej pomocy. Pod wpływem argumentów francuskich Anglja wychodzi ze swej ostrożnej rezerwy. Nie angażuje się wprawdzie bezpośrednio, nie bierze na siebie żadnych nowych ciężarów, lecz otacza nowy projekt francuski życzliwą opieką, podejmuje się zalecić go do przyjęcia w Berlinie, no i w Warszawie, rządowi, związanemu z Francją sojuszem, którego płomienie właśnie świeżo zostały rozdmuchane podczas wizyty min. Barthou.

Min. Simon na posiedzeniu Izby Gmin w dniu 13 lipca, charakteryzując projekt francuski, ujął go w czterech punktach, a mianowicie:

— wzajemność praw i obowiązków wszystkich uczestników;

— wstąpienie Rosji do Ligi Narodów;

— udział w paktach Trzeciej Rzeszy;

— i wreszcie postęp prac konferencji rozbrojeniowej jako bezpośrednia konsekwencja zawartych paktów.

Udział w projektowanych paktach miałyby przyjąć następujące państwa: Polska, Rosja, Niemcy, Czechosłowacja i państwa bałtyckie, wszystkie wzajemnie gwarantując sobie bezpieczeństwo i zobowiązując się do czynnej pomocy w razie napadu. Rosja sowiecka miałaby nadto gwarantować granicę wschodnią Francji, zaś Francja granice wszystkich państw wymienionych.

Nazajutrz ukazał się komunikat Niemieckiego Biura Korespondencyjnego. Zdaniem kół niemieckich istotnym celem projektowanego paktu zbiorowego jest zapewnienie praktycznego wykonania sojuszom wojskowym francuskim i wzmocnienie pozycji francuskiej przez wciągnięcie do bloku państw, sprzymierzonych z Francją, także i Rosji Sowieckiej.

Następnego dnia ukazał się w „Gazecie Polskiej" artykuł, streszczający stanowisko polskich kół urzędowych. Ostrożne zastrzeżenia półurzędowego organu polskiego MSZ sprowadzały się do tego, że „nie znane jest stanowisko Niemiec", że brak jest w zespole mocarstw sprzymierzonej z Polską Rumunji, że zespół państw, mających podpisać pakty, jest przygodny, że wreszcie Polska, zabezpieczona od wschodu i zachodu paktami o nieagresji, może cierpliwie czekać, nie śpiesząc się ze zbyt gwałtownem, nie przemyślanem postano-

wieniem. Dyskretne przemilczenia „Gazety Polskiej” zostały niezwłocznie skontrolowane przez służbę informacyjną wielkich dzienników europejskich, a powody polskiej rezerwy mniej więcej zgodnie zostały przez prasę tę ustalone. Znalazły one swój może najbardziej spokojny wyraz w opinji zazwyczaj dobrze poinformowanego wydawnictwa wiedeńskiego, „*Der Oesterreichische Volkswirth*”:

„Polska nie chce zawierać ani z rządem Trzeciej Rzeszy ani z Rosją takiego związku, który obowiązywałby wszystkich uczestników do wzajemnej pomocy. Polska nie chce, ażeby jej granic broniły na zachodzie wojska sowieckie, na wschodzie — Reichswehra. Polska ma wrażenie, że projekt układu, opracowany przez Quai d'Orsay tamuje jej swobodę ruchów, że układ ten reguluje jej stosunki z Litwą i Czechami inaczej, niż ona sama uczyniłaby to w drodze stosunków bezpośrednich z mniejszemi państwami. Nadto Polska nie widzi w tym układzie żadnej możności współpracy ze swym sojusznikiem Rumunją, która miałaby pozostać poza ramami układu.

„W razie przystąpienia do układu Trzeciej Rzeszy, uzyska ona pewne przywileje w sprawie zbrojeń, Polska zaś nie uzyskałaby w tej dziedzinie żadnych kompensat. Ze strony pewnej części prasy francuskiej padły groźby wypowiedzenia sojuszu. Zdaje się, że ostatnia wizyta gen. Debeney miała podobne, chociaż, może, nie tak jaskrawe znaczenie. Podobno Francja zamierza zmniejszyć swe świadczenia wojskowe na rzecz Polski, jeżeli ta ostatnia nie zechce przystosować się do współpracy Paryża z Moskwą. Nacisk ten drażni wrażliwość polityków warszawskich”.

Zastrzeżenia polskie, którym towarzyszyć musiały pokrewne co do treści posunięcia dyplomatyczne, przyjęte zostały w Paryżu z nieukrywanem rozdrażnieniem. Nikogo nie przekonały przytoczone przez „Gazetę Polską“ motywy. Jak donosi korespondent paryski pisma londyńskiego „*Observer*”, pod datą 15 b. m.:

„Obecnie, kiedy już Włochy dały wyraz swemu poglądowi, zgodnemu z punktem widzenia Wielkiej Brytanii, trudno sobie wyobrazić, aby odpowiedź Polski na zaproszenie *Foreign Office* była niepomyślna, — chyba że „rząd pułkowników” zechce ostatecznie zdecydować się na związek z pangermanizmem, z oczywistym zamiarem zaatakowania Rosji.

„Właśnie niebezpieczeństwo takiego związku i takiego zaatakowania Rosji jest uważane przez wielu Francuzów za istotne usprawiedliwienie zbliżenia francusko-rosyjskiego. Uważają tu bowiem, że byłoby ze strony Francji równie niemądre pozwolić na anektowanie przez Polskę i Niemcy części terytorjum rosyjskiego, jak niemądrem było pozwolenie Prusom na anektowanie terytorjum Danji i Austrji przed wojną roku 1871”.

Skądże analogje tego rodzaju? dlaczego Polska wymieniona obok Prus?

Wystarczy cofnąć się do niedawnej przeszłości: do pobytu w Warszawie ministra Barthou.

Z czem wyjechał min. Barthou po swoim pobycie w Warszawie? Jeżeli sprobujemy wyłuskiwać treść istotną tej wizyty z powodzi komplementów, — wynikających częściowo z rytuału dyplomatycznego, częściowo zaaplikowanych na miarę środowiska warszawskiego, obserwowanego przez gości francuskich, — żniwo dyplomatyczne nie będzie nam imponowało ani obfitością ani bujnością.

Już w dniu 23 kwietnia w wywiadzie, udzielonym „Kurjerowi Warszawskiemu”, min. Barthou dał wyraz przeświadczeniu, że wobec poparcia stanowiska francuskiego przez Anglję i Włochy „nie widzi on żadnej racji, ażeby pomiędzy Polską a Francją powstały jakiekolwiek nieporozumienia w sprawie *Anschluss*'u...”

„Nie widzi żadnej racji“, nie twierdzi jednak, czy tak jest w istocie...

W tym samym dniu, przemawiając do zgromadzonych dziennikarzy, min. Barthou daje wyraz swemu optymizmowi co do świeżo zawartego w dniu 26 stycznia układu polsko-niemieckiego w takich oto, ostrożnych słowach:

„Będę szczęśliwy, jeżeli Pakt Polsko-Niemiecki przyczyni się do utrwalenia pokoju na świecie“.

A więc tylko: „Będę szczęśliwy, jeżeli...“ Nic więcej.

A wreszcie w ostatniej chwili swego pobytu w Polsce, w chwili rozstania się ze swymi gospodarzami w Krakowie, składa min. Barthou przedstawicielowi P. A. T. pożegnalne oświadczenie:

„Jestem pewien, że w stosunku do żadnego zagadnienia nie ujawnią się pomiędzy Francją a Polską, żadne głębsze różnice zdań”.

Nie tak przemawia dyplomata, któremu udało się ustalić pomiędzy sojusznikami wspólność poglądów, opracować wspólną lub przynajmniej skoordynowaną linję postępowania. Minister spraw zagranicznych mocarstwa, związanego z Polską ścisłym sojuszem wojskowym od roku 1921, musi zadowolić się, co do przyszłości najbliższej, tylko pewnością, że nie będzie poważniejszych różnic.

W takiej atmosferze przyszła sprawa Locarna Wschodniego. Nie była łatwa. Udział Sowietów jako poręczycieli i ewentualnych sojuszników przeciwko agresji, perspektywa przemarszu wojsk sowieckich, były to okoliczności niełatwe do przyjęcia nawet na gruncie wolnym od żywych remiscencji historycznych. Wystarczy zajrzeć do prasy angielskiej czy nawet francuskiej, ażeby znaleść tam ślady daleko idących wątpliwości.

W atmosferze dbałości o utrzymanie wzajemnego zrozumienia i zaufania te wszystkie trudności byłyby do pokonania i w każdej sytuacji znalazłby się jakiś sposób zaradzenia. Chodziło przecież o cel wspólny, o bezpieczeństwo, którego nie można zapewnić bez najściślejszej współpracy narodów, bezpośrednio zainteresowanych w utrzymaniu pokoju i porządku prawnego w Europie.

Już prasa francuska zaczyna wątpić, czy pro jektowane układy dojdą wogóle do skutku. Nie byłoby w tem oczywiście nic złego, zwłaszcza jeżeliby na ich miejsce miało przyjść coś bardziej odpowiadającego potrzebom. Chodzi jednakże o to, aby w tych zabiegach dyplomatycznych, w tem skrzy-

żowaniu odmiennych zdań, nie narażone zostały na szwank istotne i stałe pierwiastki naszej polityki, ażeby nie zmarnowano bezcennego kapitału politycznego, jakim jest stosunek i wola narodów.

Republika Francuska posiada mechanizm polityczny, zapewniający społeczeństwu możność przywrócenia równowagi pomiędzy wolą narodu a czynnościami jej wykonawców. Nam pozostaje podnieść głos w obronie tych stałych dóbr wzajemnego stosunku polsko-francuskiego, które przez szereg lat były marnowane po obu stronach. Podnosząc głos w obronie tych stałych pierwiastków polityki polskiej, prasa narodowa różnych odcieni już dała świeżo wyraz tej dbałości, przy okazji dyskusji nad Locarnem Wschodniem. Czynimy to dziś w tem przeświadczeniu, że zarówno wśród najszerszych mas naszego Narodu jak i po tamtej stronie Renu, uczucia nasze znajdą oddźwięk i zrozumienie.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

FRANKIŚCI W WOLNOMULARSTWIE POLSKIEM

PO POWSTANIU kościuszkowskiem stan materjalny kraju był opłakany. Czego nie pochłonęła wojna 1792 r., tego dokonały wysiłki 1794 r., drapieżność Moskwy, liczne pożogi, sekwestry i konfiskaty. Nic więc dziwnego, że po tylu klęskach, rzeziach i łupiestwach, po takiem wyludnieniu i zbiedzeniu kraju rozgoryczenie objęło szerokie warstwy ludności. Jakobini polscy postanowili nastrój ten wyzyskać. W Warszawie powstała „Organizacja zgromadzenia centralnego", która za pośrodnictwem geometry Gorzkowskiego-Bittermana przygotowywała, na szczęście nieuskutecznioną, rzeź szlachty. Franciszek Gorzkowski w otoczeniu licznych neofitów (Lewińskiego, Jakubowskiego, Perlesa i innych) szerzył propagandę rewolucyjną między wieśniakami, buntując ich przeciwko dziedzicom. W rocznicę paryskiej sprawy Babeufa, Buonarrotiego i towarzyszy, za sprawą mechesów, z których ramienia Szymon Lewiński był kurjerem między poszczególnemi kołami spiskowców, przygotowywano wybuch powstania włościan. Skierowane ono miało być przeciwko szlachcie, nazywanej przez Perlesa wilczym rodem, który musi być wygubiony.

Nie mogąc doprowadzić do bratobójczej walki w Polsce, frankiści nie omieszkali zaopiekować się ocalałą po 1794 r. młodzieżą szlachecką. Starali się oni przedewszystkiem skupić ją w polskich organizacjach wolnomularskich, w których wychrzty odgrywali wybitną rolę. Neofici wyzyskali zręcznie fakt, że społeczeństwo polskie wraz z duchowieństwem stawiało słaby opór robocie masonerji, która pod płaszczykiem humanitarnej instytucji prowadziła agitację polityczną. Za namową frankistowskiej braci lożowej wstępowali masowo Polacy do wolnomularstwa. O wielkiem rozpowszechnieniu się masonerji u nas pisze Juljusz Falkowski, który w swojej pracy p. t. „Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce", t. I, str. 141, zaznacza, że „nie było prawie oficera w wojsku naszem... któryby do niej nie przystąpił"... W krótkim czasie do wolnomularstwa polskiego należały najwybitniejsze osobistości na polu wojskowości, polityki i nauki.

Dało się to odczuć w zmianie ustosunkowania się ludności rdzennie polskiej do neofitów, których liczba stale wzrastała. Jak pisze S. Hirszhorn („Historja żydów w Polsce", str. 111)... „Byli oni (neofici) dobrze widziani w społeczeństwie polskiem, które przyjmowało ich wtedy ze względami wprost nadzwyczajnemi. Dość przypomnieć córki słynnej Judyty Jakubowicz, które po po przyjęciu chrześcijaństwa spowinowaciły się przez zamążpójście z arystokracją polską. Przykładów takich możnaby było przytoczyć mnóstwo"... Wzmocnieni świeżemi zastępami nowochrzczeńców, rekrutujących się przeważnie z zamożnych żydów niemieckich, którzy przybyli do Warszawy razem z urzędnikami pruskimi, frankiści zdobywali coraz większe wpływy w kraju, któremu dostarczyli w trzeciem pokoleniu licznych prawników, uczonych i artystów. Na kierowniczych stanowiskach w wolnomularstwie polskiem widzimy: Szymanowskich, Krysińskich, Majewskich, Krzyżanowskich, Lewińskich, Piotrowskich, nie licząc mnóstwa szeregowych członków lóż, pochodzenia frankistowskiego. Dzięki nim znaleźli się też w masonerji polskiej przedstawiciele żydów niechrzczonych, jak oto: Glücksberg, Kronenberg, Eisenbaum i inni. Okólnik loży „Szkoła Sokratesa" z 1820 r. głosił bowiem zasadę, że „najpiękniejszym wolnomularskiego stowarzyszenia przymiotem jest połączenie ludzi różnych narodów i języków w jedną społeczność, ogniwem wspólnej braterskiej miłości spojoną".

Podczas Królestwa Kongresowego wpływy frankistów stale wzrastały. Niedarmo zaznaczają autorzy zbiorowego wydawnictwa p. t. „Żydzi w Polsce Odrodzonej" str. 456, że „ponieważ zwolenników Franka, którzy przyjęli chrzest, liczono na 24.000, więc nic dziwnego, że ich potomkowie wywierali decydujący wpływ na opinję kraju". Szeroko rozgałęzione wolnomularstwo w Królestwie Kongresowem, którego członków liczono na tysiące, ułatwiało wychrztom coraz większą penetrację społeczeństwa polskiego. Gromadzili się w lożach ludzie, — jak powiada Karol Kaczkowski, generał sztab-lekarz wojsk polskich — których pierwszym celem była walka z przesądami i urojeniami społecznemi. Papizm, tyranja, arystokracja, fanatyzm i zabobonność — oto wrogowie, których pokazywano braciom i przeciw którym wypowiedziano wojnę dla uszczęśliwienia ludzkości. Hasła te nie przeszkadzały jednak należeniu do loży „Przesąd Zwyciężony" ks. Benedyktowi Majewskiemu, kapelanowi wojskowemu, a Michałowi

Szymanowskiemu, kawalerowi Maltańskiemu, kandydować nawet na urząd W. Wschodu Narodowego.

Stając w szeregach głosicieli najskrajniejszych haseł społecznych, starali się frankiści podtrzymywać i popierać nieporozumienia między chrześcijanami w masonerji. Ta metoda pobudziła generała Franciszka Krysińskiego, audytora generalnego, szefa wydziału komisji wojny, będącego syndykiem żydów chrzczonych, do zbuntowania loży „Jedność Słowiańska" przeciwko władzom wolnomularstwa legalnego. Wprowadzając rozłam do masonerji polskiej, pozostawał Krysiński w ścisłym związku z Berlinem, który za pośrednictwem konsula Szmidta nawiązał kontakt z żydostwem warszawskiem. Drugi wybitny mason pochodzenia frankistowskiego, Lewiński, senator, członek komisji prawodawczej, pełniący funkcję ministra sprawiedliwości za w. ks. Konstantego, należał wówczas do wiernych sług moskiewskich. Nic więc dziwnego, że polska młodzież uniwersytecka starała się trzymać naogół zdaleka od wolnomularstwa. Pojęła ona, jakie niebezpieczeństwo groziło jej ze strony klubów tajemnych, tych demagogicznych zborów, w których tkwili prowokatorzy, będący na żołdzie wrogich państw.

W tajnych organizacjach akademickich („Bractwa burszów polskich" i inne) wiedli rej: Majewscy, Wołowscy... i Henryk Mackrott, który głosił śmierć tyranom, mason, najwybitniejszy agent tajnej policji, gdzie „pracowali" Mackrott - ojciec (mason najwyższego stopnia), Hieronim Szymanowski, Paździerska, Joel Birnbaum, Ludwik Grünberg i inni. Wszystkie najpoufniejsze czynności akademickie były śledzone gorliwie przez akademika Mackrotta i w regularnych, szczegółowych jego raportach szpiegowskich od sierpnia 1819 roku donoszone w. ks. Konstantemu. Szpiegował on pozatem związek kosynierów, gdzie zastępcą naczelnika prowincji poznańskiej był Józef Krzyżanowski z Pakosławia, o którym S. Askenazy pisze („Łukasiński", t. II, 35), że „był to człowiek nieszczególny, głośny z nieludzkiego ze swymi włościanami obchodzenia się".

Jednym z najbardziej radykalnych ówczesnych związków tajnych był zakon Templarjuszów. Cechą charakterystyczną wszystkich rytów templarjuszowskich jest zemsta na królu Filipie Pięknym i papieżu Klemensie V za spalenie Jakóba de Molay na stosie. Ponieważ wspomniani król i papież dawno już zmarli, postacie ich uważać należy za symboliczne. Celem więc tych rytów jest walka przeciwko monarchji i Kościołowi.

Kapitan Franciszek Majewski, o którym pisze Askenazy („Łukasiński", t. II, 89), że „był osobistością ciemną, pospolitym aferzystą związkowym, uzdolnionym do zdurzenia i wyzyskania łatwowiernych Wołyniaków i Podolaków", został upoważniony do założenia nowej loży przez kapitułę Edynburską, z której członkami, zdaniem Małachowskiego - Łempickiego, zapoznał się podczas pobytu swego w Anglji. Nowozałożona loża działała usilnie aż do wybuchu powstania listopadowego w Kijowie i Berdyczowie. Wielkorządcą jej obrany został Majewski. Wielu Templarjuszów było równocześnie członkami Tow. Patrjotycznego. Do ich liczby należał podpułkownik Seweryn Krzyżanowski (zaufany Łukasińskiego), „dźwigający z natury pewne braki duchowe, obniżające jego wartość" (S. Askenazy, „Łukasiński", t. II, str. 71).

Denuncjował też Polaków przed w. ks. Konstantym konsul pruski w Warszawie, Szmidt, żyd z pochodzenia. Posiadał on tajną policję, w której odgrywał ważną rolę młody bankier, Aleksander Laski, pasierb i wspólnik największego wówczas potentata finansowego w stolicy, Samuela Fraenkla. Otóż ów Szmidt, o którego niskim poziomie moralnym świadczy fakt wykorzystania uwięzienia jego znajomego Grzymały (członka Tow. Patrj.) celem uwiedzenia jego żony, zmierzał systematycznie do zatrucia stosunków polsko-rosyjskich. Wiedziano bowiem dobrze w Berlinie, że car Aleksander, pomimo całej umiejętności panowania nad sobą, niezawsze potrafił ukrywać się z głęboką do Prus niechęcią, zaś wybuchowy w. ks. Konstanty, nie krępujący się ze swą odrazą do Katarzyny i jej rozbiorowej z Fryderykiem spółki, dawał ujście swym antypatjom pruskim w sposób równie częsty, jak dobitny. Troska więc o zapobiegnięcie zawczasu groźbie utraty Poznańskiego znajdowała wyraz w ówczesnej działalności pruskiego konsula, współpracującego z Nowosilcowem i osławionym Joelem - Mojżeszem Birnbaumem, którzy denuncjowali przed berlińskim rządem polską młodzież, studjującą na wszechnicach niemieckich. Pozostawał pozatem Szmidt, jako sekretarz do jęz. niemieckiego „Wielkiego Warsztatu" przy „Wielkim Wschodzie Narodowym", w bliskim kontakcie z lożami stolicy. Nie obcą mu była też wielka niechęć, jaką żywili żydzi do ludności polskiej w Królestwie, co ułatwiało wywiadowczą pracę neoficie Laskiemu (zaufanemu ministra spraw zagranicznych Bernstorffa w Berlinie), który miał do swej dyspozycji biuro, składające się początkowo z sześciu urzędników, potem znacznie wzmocnione.

STANISŁAW DIDIER

SŁUCHAJĄC A. SIEGFRIEDA...

W KOŃCU maja b. r. „elita" warszawska (coprawda ze znaczną domieszką snobów) miała sposobność wysłuchać paru pięknych wykładów wybitnego uczonego francuskiego, badacza wszelkich, powojennych „kryzysów", profesora „*Collège de France*", A. Siegfrieda. Znakomity prelegent mówił naprzód o tem, jak to Europa straciła po wielkiej wojnie swoją hegemonję w świecie, a następnie o „psychologji francuskiej wobec zagadnień nowoczesnych".

Ten drugi zwłaszcza wykład był bardzo zajmujący, pierwszego bowiem przedmiot, aczkolwiek wyłożony wyśmienicie, dla tych, co czytali książki R. Dmowskiego („Świat powojenny a Polska" i „Przewrót"), mógł nie przedstawiać większego interesu.

Słuchając wywodów prof. Siegfrieda, dotyczących „psychologji francuskiej w obliczu zagadnień nowoczesnych", odbierało się wrażenie, iż to, co o tem prelegent mówił, miało cel specjalny, mia-

nowicie przesunięcie przed wzrokiem słuchaczów nieco odmiennego obrazu Francji od tego, jaki ostatnio im się ukazał, po skandalicznych wypadkach, związanych z „aferą" Stawiskiego, oraz masakrze b. kombatantów na placu Zgody.

Cel odczytu bardzo chwalebny, tym bowiem, których losy wiążą się z losami Francji, więcej wszak mogło zależeć na poznaniu Francji „wiecznej", niż Francji przemijającej, przypadkowej.

Chodzi więc o to — czy ta Francja „wieczna", jakiej rysy prelegent przed nami odsłaniał, jest taką w rzeczywistości, jak nam ją starano się przedstawić?

Profesor Siegfred przekonywał słuchaczów, wypełniających po brzegi aulę uniwersytecką, że chociaż Francja, podobnie jak inne kraje Europy, przeszła w XIX stuleciu przez ogromne przekształcenia ekonomiczne, wskutek niebywałego rozwoju przemysłu i t. p., — to wszakże nie zmieniło jej psychiki, która zachowała swoje tradycyjne właściwości.

Zjawisko powyższe tłumaczył prelegent starożytnością kultury (grecko-rzymskiej) Francji, czemu, zarówno jak i swemu położeniu geograficzmu, ma ona zawdzięczać stałość swej psychiki.

„Jesteśmy narodem całkowitym, kompletnym" — mówił prof. Siegfried — „czujemy się szczęśliwymi we własnym kraju, mamy tu wszystko, co nam jest potrzebne do życia pełnego, nie chcemy niczego więcej, ale też nie pozwolimy sobie ująć czegokolwiekbądź z tego, co posiadamy"...

Na takich podstawach wytworzyła się, nieulegająca głębszym zmianom, indywidualność Francuza, znajdująca swój wyraz w trzech głównych typach, mianowicie: chłopa, rzemieślnika (*„artisan"*) i „burżuazji" (*„bourgeois"*).

Wyliczając zasadnicze cnoty (umiar, pracowitość, oszczędność i przezorność, zdrowy sens, miłość kraju i t. p.) tych reprezentatywych odmian Francuza, prelegent kładł nacisk na to, co go przedewszystkiem charakteryzuje, co jest duszą jego indywidualności; tem, podług szanownego profesora, jest swoboda wewnętrzna, wyrażająca się wolnością myśli i samodzielnością sądu.

Temu np. zawdzięcza się to, że robotnik francuski nie stał się niewolnikiem bezdusznej maszyny wielkiego przemysłu i nie przestał być rzemieślnikiem, który stawia i samodzielnie rozwiązuje zagadnienia swego zawodu, etc... Co więcej, temu czynnikowi wolności i samodzielności duchowej jednostki, zawdzięcza Francja swoją odporność na to, co się staje plagą innych, mniej dojrzałych i całkowitych społeczeństw, mianowicie odporność na masowe dyscyplinowanie ludzi i seryjne ich urabianie podług jednego wzoru, co dzisiaj grozi światu nowem barbarzyństwem. Typowi cywilizacji masowej przeciwstawia się skutecznie Francja; przeto, kończąc swój wykład, prelegent wyraził nadzieję, że gdy Europa poczuje na sobie ciężar, niwelującej wszystko i wszystkich, cywilizacji naszych czasów, wówczas, by ulżyć sobie, zwróci się do Francji, jako do źródła istotnej cywilizacji, opartej na wolności duchowej jednostki.

Być może, tak się stanie, jak wróży prelegent — jest to jednak sprawa zagadkowej przyszłości! Powróćmy więc tymczasem do narysowanego nam obrazu Francji. Ukazuje się tu ona, jako owa, nieco sielankowa, *„France la doulce"* — jako kraj „dobrego chleb i dobrego wina", w którym jednostka ludzka znajduje wszystko, co jest potrzebne do miłego i wygodnego życia, do „uprawy swego ogródka" i „picia z własnego, chociaż małego kieliszka". Gdzie nadto, zgodnie ze słowami prelegenta — wszyscy, biali czy czerwoni, są *„bourgeois"*, t. j. dążą do jednego ideału, mianowicie do równowagi budżetu prywatnego, do posiadania, właśnie, swego „ogródka" i spokojnego, w wolności ducha i niezależności zdania, spożywania jego darów.

To wszystko przytem odbywa się pod hasłem, naturalnie, solidarności ogólno-ludzkiej, w myśl zasad W. Rewolucji — wolności, równości i braterstwa, praw człowieka i obywatela i t. d.

Nie powiem, żeby powyższy obraz Francji, aczkolwiek w pewnej mierze odpowiadający rzeczywistości i niepozbawiony swoistego wdzięku, bardzo mnie zachwycił: nasampierw dlatego, iż tu niewiadomo o jaką Francję chodzi — o tę, co istnieje od kilkunastu wieków, czy o tę, co datuje się od W. Rewolucji francuskiej? Następnie z powodu, że na obrazie nie widać było blasku i chwały Francji, wielkiej ofiary oraz bohaterstwa, to wszystko bowiem przyćmione zostało Francją przewidującego, gdy chodzi o prywatny interes, *„bourgeois"*, i szczęśliwego w swoim zakątku rentjera.

Słuchając tedy wywodów prof. Siegfrieda, uzupełniałem sobie wciąż ten obraz, coś niecoś dodając mu bądź ujmując.

„Francuz jest szczęśliwy w swoim kraju" — utrzymuje prelegent — „wszystko mając tu, co mu potrzebne do szczęścia, niczego więcej nie pragnie".

Otóż, tak nie było i tak nie jest. Już nie wspominam o tych Francuzach, co z Robertem Guiscard'em np. zakładali ongiś potężne państwo na Sycylji, ani o tych, dzięki którym działy się na świecie „czyny Boże" (*„Gesta Dei per Francos"*); ale cóżby na to wszystko mógł odpowiedzieć ów Jean Cartier, odkrywca Kanady, tym, co w niego chcą wmówić, że nie pragnął on niczego więcej nad to, czem się uszczęśliwiał we własnym kraju? Zżymnęliby się również na to i ci słynni korsarze francuscy, z których nie jeden stał się chlubą marynarki Jego Królewskiej Mości; a także wszyscy ci, szaleni odwagą, *„boucannier*'rzy" i *„flibustier*'rzy", co na wodach Atlantyku napadali i łupili flotyle Hiszpanów, Holendrów i Anglików — szli na złamanie karku do brzegów Nowego Świata, zdobywając tam dla Francji bogate miasta i ziemie!

A chyba o tych nie trzeba długo mówić, co przez parę wieków, daleko poza ojczystym krajem, pomnażali źródła szczęśliwości ogółu jego obywateli, o tych, co stworzyli nową Francję, jej olbrzymie państwo kolonjalne, znajdując tam często śmierć własną, a przysparzając mocy Ojczyźnie. Ci wszyscy mogli chyba czuć się wcale nieźle we własnym kraju, a mimo to zapragnęli czegoś jeszcze innego gdzieindziej, poza nim.

A oto, gdy tego typu Francuzi najlepsze swe lata spędzali pod skwarnem słońcem Afryki, bądź w zabójczym klimacie Tonkinu, czy Indo-Chin — stali na straży, zdobytych dla Francji, egzotycznych krajów; w tym samym czasie, kochający swą ziemię, chłop francuski porzucał ją dla złudnej nieraz szczęśliwości miast wielkich, otwierając w ten sposób drogę napływowi obcych żywiołów (Jak np. na południu Francji). Jak więc starożytność kultury oraz dojrzałość narodowa, niezawsze sprzyjały „umiarowi" i „równowadze" psychiki francu-

skiej, nie chroniły jej od porywów i przedsięwzięć ryzykownych — jak się okazuje często korzystnych dla życia narodów, — tak też wielkie przekształcenia ekonomiczne nie przechodziły bez wpływu na psychikę tej warstwy społecznej, która najbardziej jest ustalona pod względem duchowym.

Ale idźmy dalej! Indywidualność Francuza, jak to stwierdził prof. Siegfried, słynie wprawdzie z umiłowania wolności myśli, z krytycyzmu i niezależności sądu — niemniej jednak w jego dziedzinie psychicznej zachodzą zdumiewające procesy, świadczące o niezwykle łatwem wyrzekaniu się tych cennych przymiotów ducha oraz uleganiu wpływom cywilizacji masowej, w której zaprzepaszcza się wolność wewnętrzna i odrębność jednostki.

Tak przynajmniej dzieje się od czasu ogłonia „nieśmiertelnych" zasad W. Rewolucji, od chwili, gdy stały się one gwiazdami przewodniemi w życiu zbiorowem Francji.

Chłop, rzemieślnik, czy robotnik, wreszcie „*bourgeois*" francuski, wszyscy, posiadający tyle zdrowego sensu, trafności i niezależności zdania, subtelnego nieraz krytycyzmu, gdy chodzi o ich interes osobisty, wobec faktów i spraw, dotyczących ich życia bezpośredniego, jakże często tracą to wszystko, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, gdy chodzi o interes całości, o sprawy publiczne, związane z bytem narodu. Co gorsza, iż cenny kruszec zdrowego sensu i samodzielności zdania zamieniają na marny liczman zdawkowego sądu i wyświechtanego ogólnika, upajając się niemal ich, dźwięczącem próżnią, brzmieniem.

Czemże, jak nie tego rodzaju zamianą, wytłumaczyć to, widoczne od sześćdziesięciu lat zgórą, od ustalenia się trzeciej Rzeczypospolitej — uleganie szerokich mas narodu francuskiego hasłom i zasadom jaknajmniej zgodnym z interesem zarówno jednostki, jak i ogółu, a nawet wręcz im wrogim?

Jakimże to niezliczonym bredniom, urągającym zdrowemu sensowi każdego pojedyńczego chłopa, rzemieślnika i „burżua" — nie wierzyli oni wszyscy, wzięci w masie, gdy się do nich odwoływano w imię, pozbawionych dla nich życiowej treści, czczych abstrakcyj, w rodzaju: solidardarności ogólno-ludzkiej, demokracji, Respubliki powszechnej, Stanów Zjednoczonych Europy, wiecznego pokoju i t. p.?...

Hypnotyzowani podobnie bezżyciowemi ideami przez rozmaitych manjaków i fachowych uwodzicieli mas, t. j. polityków, poddawali się im biernie, jakby nagle zostali pozbawieni zdrowego sensu i samodzielności sądu.

Wogóle można powiedzieć, że, aczkolwiek naród francuski, gdy chodzi o pojedyńcze jego jednostki, góruje nad innemi w Europie miłością swobody indywidualnej oraz niezależnością myśli, — niemniej jednak, jak żaden inny w tym stopniu, dawał się oszałamiać i porywać wszelkiego rodzaju utopjom, bezsensownym, nierealnym pomysłom, oraz ulegał bezkrytycznie szumnym, najbardziej demagogicznym wezwaniom.

Zaświadczyć o tem może cała, kilkudziesięcioletnia polityka trzeciej Rzeczypospolitej, wywodząca się z „nieśmiertelnych" zasad W. Rewolucji, z niewiadomo jakich praw, niewiadomo jakiego człowieka i obywatela, z zasad demokracji, której istota polega właśnie na pochłonięciu żywej jednostki, jej wolności i samadzielności sądu przez bezduszną liczbę, która kpi sobie z prawdziwie życiowych praw określonego człowieka i obywatela.

Te liczne eksperymenty, jakie oficjalna polityka 3-ciej Respubliki wykonywała na jednostce ludzkiej, zwężając zakres jej wolności, bądź zupełnie ją niwecząc — w dziedzinach, w których najwięcej ma ona do powiedzenia i stanowienia, jak np. w instytucjach: rodziny, religji, wychowania i nauczania pokoleń, własności i t. p., — mogły już dawno zrazić do niej ostatecznie obywateli Francji, wywołując gruntowną zmianę jej idej przewodnich.

Jednakże to nie następuje, chociaż polityka jest tu coraz gorsza. Tak np. Respublika już dziesięć razy powiększała podatek spadkowy — zabójczy dla życia rodziny, nie mówiąc i o tem, że wcale nie dbała o podwalinę i chlubę swoją, mianowicie o ciułającego grosz do grosza „*bourgeois*", gdyż oszczędności całego jego życia wciąż pozwalała trwonić rozmaitym oszustom, w rodzaju Oustric'ów, Stawiskich i t. p. A jakież mu dawano rękojmie bezpieczeństwa we własnym kraju, jak pojmowano ochronę bytu państwa?

W tej mierze polityka Rzeczypospolitej dochodziła do szczytu nonsensu! Czyż można sobie wyobrazić coś potworniejszego, jak to słynne cofnięcie w 1914 r., wobec wroga gotowego do najazdu, własnego wojska o 10 kilometrów od granicy — co rujnowało plan obronny sztabu francuskiego — poto jedynie, by zaświadczyć wobec świata o pokojowem usposobieniu Francji?

A czy skutki straszliwej wojny zmniejszyły szał pacyfistyczny polityków francuskich, wpłynęły cokolwiek na zmianę ideologji demokratycznorepublikańskiej, której najwznioślejszym celem jest rozbrajanie narodu? Co, jak co, a zasada upartego pacyfizmu trwa tu niezmiennie, jest to bowiem „*noblesse oblige*" 3-ej Respubliki.

Niedarmo trzej najzagorzalsi rzecznicy — aż do nieprzytomności — tej idei: Wiktor Hugo, Zola i Jaurès, spoczęli po śmierci w Panteonie, jako najgodniejsi, wśród wielkich mężów Francji *)

Te i tym podobne zjawiska z życia publicznego nie świadczą chyba korzystnie o bogactwie myśli krytycznej oraz niezależności opinji obywateli francuskich; przeciwnie, mówią one, że na indywidualności Francuza znać jeden i ten sam stempel, słowem, że wolność jego wewnętrzna znacznie została uszczuplona.

Wskutek tego nieraz czuł się więcej członkiem ludzkości, niż narodu francuskiego; niejednokrotnie rezygnował z prawa jawnego wyrazu swej dumy i uczuć narodowych, jak np., gdy chodziło, o publiczne obchody ku czci Joanny A'arc, które dopiero po wojnie, w ostatnich latach, zostały przebojem narzucone ogółowi Francuzów, dzięki energji sfer, należących do „starej" Francji

*) Oto jak zapatrywał się na obronę Ojczyzny W. Hugo: „Kto ma interes w obronie granic?" — zapytywał — „Królowie! Granica wymaga budki strażnika, ta zaś wymaga żołnierza. „Tu się nie przechodzi" — oto słowo wszelkich przywilejów, wszelkich tyranij. Z takiej granicy, z takiej budki strażniczej, z tego żołnierza — pochodzą wszystkie klęski ludzkie". Gdy w 1870 r. Prusy napadły na Francję, oficjalny jej poeta nazwał to „wojną kaprysu", bowiem „dwa narody będą się mordować dla przyjemności dwóch książąt". W dodatku wspaniałomyślny pacyfista, wzywając kobiety do robienia szarpi, jedną ich połowę przeznaczał dla Francji drugą natomiast dla Prus"... (p. Georges Batault „*Le Pontife de la démagogie. Victor Hugo*". str. 252, r. 1934).

t. j. do tej, która ideologji swojej nie wywodzi z Rewolucji.

Z osłabieniem poczucia wolności wewnętrznej jednostki szło jednocześnie osłabienie wogóle myśli, obniżenie poziomu jasności i rzetelności myślenia, co się odbiło na charakterze twórczości francuskiej. Twórczość Francji uległa w XIX w., jak nigdy przedtem, wpływom myśli obcej (np. filozofji niemieckiej i t. p.), oderwała się od źródła tradycyjnego swoich wielowiekowych natchnień.

Jeśli za miarę stanu umysłowości danego społeczeństwa uznać rodzaj myśli filozoficznej, panującej wśród niego, to pod tym względem Francja w XIX i XX wieku jest wymownym przykładem obniżenia poziomu samodzielności własnego myślenia.

Przyczynił się do tego między innemi płaski materjalizm filozoficzny, będący wynikiem ogromnego rozwoju wiedzy przyrodniczej w XIX w., co znalazło natychmiastowe odbicie w całej twórczości francuskiej (nauka, filozofja, literatura, sztuka), zwłaszcza drugiej połowy tego stulecia; także system nauczania, szczególniej na wyższych jego stopniach, czego typowym przykładem była Sorbona, gdzie przez długie lata panowała doktryna, zwężająca widnokrąg nauki i myśli, gdyż mająca głównie na celu uzasadnienie konieczności systemu demokratyczno-republikańskiego dla Francji i Francuzów (p. P. Lasserre: *„La doctrine officielle de l'Université"*; René Benjamin *„La farse de la Sorbonne"* i t. p.).

Do czego wkońcu doszła myśl filozoficzna we Francji, o tem niech zaświadczy choćby to, że na najwyższych jej szczytach znajdujemy obecnie przeważnie rozmaitych „meteków", a więc: Bergson'a, Meyerson'a, Lévy-Bruhl'a (albo wprost: Levi), Bendę, z dodatkiem kilku Brunschwicg'ów i t. p. (p. *„Tableau du XX-me siècle"*. *La Pensée, par* Gonzague Truc. str. 270, 1933 r.).

Profesor Siegfried twierdził, że przywiązanie Francuza do wolności myśli oraz samodzielności sądu, było źródłem całej wielkiej filozofji i literatury francuskiej. Tak było dawniej — to prawda, nie jest jednak teraz. Tak było za czasów Kartezjusza, Montaigne'a, Pascal'a, Malebranche'a, wreszcie Maine de Biran'a, A. Comte'a; tak jednak nie jest od czasu Cousin'ów, Ribot'ów i Brunschvicg'ów — jeśli chodzi o filozofję. Co zaś do literatury, to właśnie w XIX wieku, ci jej przedstawiciele, co odznaczali się istotną samodzielnością myśli (wielki Balzac, Baudelaire, Flaubert, Barbey d'Aurevilly i t. p.) znaleźli uznanie przedewszystkiem wśród „amatorów", natomiast tacy np. jak Wiktor Hugo, który był największym „cymbałem brzmiącym i miedzią brzęczącą" wszelkich komunałów demokratyczno-rewolucyjnych, — stali się przedmiotem czci ogółu i chlubą twórczości Francji.

I w tej dziedzinie, słowem, jak w wielu innych, z wolnością myślenia oraz samodzielnością sądu Francuza, *„bourgeois"* 3-ej Respubliki, nie jest tak świetnie, żeby mógł on ratować Europę, gdy ta się zwróci o pomoc do niego od grożącej jej cywilizacji masowej, wytwarzanej dzisiaj przez inne społeczeństwa (Ameryka, Rosja).

Niech naprzód ów *„bourgeois"* francuski zwalczy swoją własną, wewnętrzną cywilizację masową, której sam uległ w ciągu XIX wieku, wówczas nabierzemy do niego zaufania, że i z zewnętrzną sobie poradzi i innych od niej potrafi uratować.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

UNIWERSALIZM — INDYWIDUALIZM — PERSONALIZM

UNIWERSALIZM „DZIEJOWOŚCI"

(Dokończenie)

ALE NIETYLKO przed sobą człowiek idealista chroni się w swój ideał, lecz niekiedy i przed swojem społeczeństwem, gdyby ono próbowało go zdeprawować. Uprawnienie i moc do tego oporu czerpie on wtedy ze swej osobistości idealnej, która się w nim *de facto* poczęła i jak każde wogóle życie o byt swój walczy. Ten zaś „nowy płód" swoje soki żywotne czerpie z solidarności ze społeczeństwem idealnem (które w sensie laickim indywidualistycznej „moralności autonomicznej" w stylu kantowskim, przez tradycję dziejową się objawia, a które w sensie mistycznym rozumiane jest jako Kościół niewidzialny i powszechny *(Corpus mysticum Christi)*, do którego należą wszyscy żywi i zmarli ludzie dobrej woli, bez względu na epokę i wyznanie, nawet gdyby przez nieporozumienie z chrześcijaństwem walczyli[1]).

Taka zasada, legalizująca w pewnych warunkach oparcie się społeczeństwu, będzie to oczywiście pewien „indywidualizm" — bo tu człowiek nie chce dać się społeczeństwu stopić. Ale z drugiej strony to jedynie dlatego człowiek broni się przed stopieniem się ze społeczeństwem, iż wtopiony jest w inne społeczeństwo, w ową społeczność idealną—co jest znów „uniwersalizmem"; więc uniwersalizm społeczności aktualnej ma swoją przeciwwagę w uniwersaliźmie społeczności idealnej. Woda nie roztopi złota, ale roztopi je woda królewska.

Do takiego życia — (nalegam)—na nic rozumowanie aprioryczne o naturze Bytu i Dobra: dobrzy łączą się z dobrymi w dobrem samą mocą

[1]) Ściślej biorąc, w zdaniu tem, dla krótkości wyrażenia, pozwolono sobie na dwa błędy: Raz, moralność Kanta nie jest w pełni „laicka", albowiem Kant właśnie, z etyki wychodząc, postuluje Boga; a po drugie moralność autonomiczna nie tyle na tradycji dziejowej się opiera, ile na subjektywnie dobrej woli jednostki: jednostka patrzy nie na żadną powszechność, ale jest sam na sam z sumieniem — i z tej samotności czerpie swą heroiczną dumę — tak w każdym razie jest w teorji. Ale wątpię, czy tak jest w psychologicznej praktyce: czy umierając samotnie a heroicznie, nawet najbardziej zawzięty autonomista moralny — ateista — ostatnią nadzieją konającej duszy nie marzy o jakimś ostatnim i jedynym... świadku?... Nie, dusza ludzka za nic nie znosi być sam na sam ze światem bezdusznym, to jest jej prawo, którego żadnem indywidualistycznem postanowieniem odważnej rozpaczy, żeby wyłącznie na sobie oprzeć się i poprzestać — nie przełamie.I tu jest rdzenny, psychologiczny „uniwersalizm". Bodajże o to właśnie prawo rozbiła się zuchwale odważna głowa Fryderyka Nietzschego...

duchowego powinowactwa; taksamo jak źli ze złymi łączą się w świat zbrodni, półzbrodni, ćwierć-zbrodni, aż na „porządnych" skończonych sobkach skończywszy. Poprostu, dobro ma swój smak właściwy, w którym, bez żadnych postanowień logicznie prowadzonych, smakują sobie jedni, a zło ma też smak własny, za którym idą ci, co się nim demonicznie upoili. Smak dobra i smak zła, — smakowanie w dobrem i smakowanie w złem to „prafenomeny", żadnym dyskursem nie stanowione i niepojęte.

Ale świat nie dzieli się tak przejrzyście: na dobrych i złych. Widowisko jest niezmiernie bardziej skomplikowane. Wprawdzie pomiędzy smakiem dobra a smakiem zła niema żadnego *continuum*, ale między ludźmi doskonale dobrymi a ludźmi zgruntu złymi jest jednak wielka ciągłość. A ciągłość ta jest tem gęstsza i nieprzerwańsza, im bardziej komplikują się stosunki międzyludzkie, jak właśnie w naszej epoce. Coraz więcej sposobności do konfliktów interesów. Każdy broni swego prawa do bytu: gdzież „dobrzy", gdzież „źli"? Częstokroć i naprawdę dobrzy nie mogą się porozumieć i trwa walka pomiędzy nimi. Mnoży się nienawiść i nieraz już zdawałoby się, że człowieczeństwo a przynajmniej europejska jego postać, rozpadnie się w środowisko ślepych pierwotniaków, wzajemnie się trawiących; nieraz już wydaje się, że przyjść musi do wojny wszystkich przeciw wszystkim, w której człowieczeństwo wytracone będzie. Indywidualizm samolubstwa osiągnie swą najgłębszą głębinę: anarchję. Jeśli jednak, coraz liczniejsi, pessymiści współcześni mają zostać fałszywymi prorokami, to musi z powrotem zejść w myśl ludzi i na korzyść przynajmniej temperancji interwenjować owa ufność z metafizycznego już planu...

O temperancji mówię oszczędnie, nie o „pokoju wiecznym", nie o zaprzestaniu wszelkich walk zgodnie z ideałem pacyfizmu i humanitarnego uniwersalizmu integralnego. Po ziemi chodzimy, z ciała jesteśmy, w materję i w przestrzeń zostaliśmy wszczepieni, które są schedą sporną; w przestrzeni nieraz i słuszne prawa, bo słusznem jest prawo do bytu, tragicznie się wikłają. A gdyby wszyscy dobrzy zmówili się z placów boju zejść dla świętej zgody, toby źli świat zagarnęli. Tak mówi realizm, a przez realizm przemawia sprawiedliwość, która jest jakąś filjacją miłości. A jednak miłość, nie przez adaptację reaktywną do materji i przestrzeni przefiltrowana, ale taka, jaka jest, sama w sobie, pokoju chce, nie wojny. Kto tego nigdy nie zaznał, jak się w nim dobroć w nagłym porywie wielkoduszności słodkiej a wspaniałej ku wszystkim bez wyjątku porywa, ażeby nawet złych sobą pokonać, ażeby się rozsiać po współludziach jak się zboże sieje, ażeby spaść na nich słońcem, co chłody ogrzewa i deszczem, co w spiekotę chłodzi — kto tego nagłego dziwu nigdy nie zaznał, ten nigdy nie pojmie Dobrej Nowiny [2]). Ale od takich porywów wraca się w przestrzeń ludzkiego świata na ziemi. I wtedy widzi się owe obowiązki udziału w walkach słusznych. Cóż zostanie? Zostanie to przeświadczenie, że dla serca chrześcijańskiego walka nigdy nie może być najwyższem „wyżyciem się", ale zawsze i tylko obowiązkiem; dla inteligencji chrześcijańskiej przeświadczenie, że światopogląd walki („wojny integralnej") jest jako taki niedopuszczalny; jeśli w naturze podludzkiej walka jest wszędzie, jeśli w historji ludzkiej walka była zawsze, jeśli i nadal bez walki się nie obejdzie, to jednak na tem człowiek poprzestać nie może, ponad naturę dąży, i nigdy idei walki ponad ideję pokoju nie wywyższy: „Pokój jest przyszłem dobrem, przyszłem szczęściem mojem, Boga bym nie chciał, gdyby Bóg nie był pokojem"...

Jeśli walka bywa obowiązkiem, to obowiązek ten musi być spełniany należycie — a należycie, to wesoło, bo obowiązki od biedy tylko spełniane są źle spełniane. Więc światopogląd antypolemiczny, jeśli jednak pozostać chce w zgodzie z rzeczywistością materjalną, nie może dążyć do wytępienia instynktów bojowych w społeczeństwie. Ale ma obowiązek dążyć do wytępienia instynktów okrucieństwa i łupiestwa. Wojna to twarde prawo. Ale byli i są żołnierze, którzy nawet w wojnie nie dają folgi okrucieństwu i łupiestwu, którzy i godność ludzką w nieprzyjacielu pobitym umieją uszanować, i nawet karząc, są surowi, ale nie hańbią, ani nie pozwolą na nic, co poza bezpośrednią potrzebę walki wykracza a jest drapiestwem. Bardzo możliwe, że w wojsku chrześcijańskiem taki właśnie „rycerz chrześcijański" wcale nie częstym bywał ptakiem; ale dość-ci na tem, że taki bywał — i to starczyło, by się wytworzył ideał, czyli — jak się dzisiaj chętnie mówi — „mit" chrześcijańskiego rycerza.

Trudno narodowi i epoce żyć bez mitu. Czy taki oto mit, syntetyzujący realizm i chrystjanizm, nie mógłby z powodzeniem w wyobraźniach masy konkurować z mitem „zdrowego" barbarzyńcy, żywiołowego, nieokiełznanego najeźdźcy ludowego, mitem tak miłym wszystkiemu bolszewizmowi, z prawa i z lewa?... Napewno trudniejszy to mit — ale wyższy i lepszy...

*

Gra więc: „indywidualizm" i „uniwersalizm" na kilku rozgrywa się planach — i co w jednej perspektywie jest dodatniem, w innej jest ujemnem. Ale uważny czytelnik pewno już dostrzegł prostotę konstrukcji. Pośrodku stoi żywy człowiek. Konkretna jednostka, o dwojakiem życiu, aktualnej osoby i idealnej osobistości: osobą jest, osobistością być powinien. Po lewej ręce człowieka społeczność masowa, na której korzyść niektórzy obrać chcą człowieka — jednostkę z jej rzeczywistości, godności, swobody i inicjatywy twórczej, roztapiając go albo w metafizycznej jakiejścałości, albo w masie bezimiennej, albo w zoologicznym gatunku, albo w historji, albo w kolektywie produkcji. Ten uniwersalizm opatrzny został znakiem ujemnym, indywidualizm jemu się broniący — znakiem dodatnim. Ale po prawej ręce człowieka nie pustka, tylko społeczność idealna, społeczność osobistości równie konkretnych, jeno wyższych i lepszych, aż po Osobistość Najwyższą i Najlepszą. Te osobistości człowieka ku solidarności z sobą pociągają nagim faktem swego czaru. Ten uniwersalizm otrzymał znak dodatni, jemu przeciwny indywidualizm — ujemny.

Poprzez duszę człowieka dobrego — od społeczności idealnej ku społeczności aktualnej — idą prądy dobroci: społeczność aktualna jest materją

[2]) Por. Mat. V, 45 — 48: „Abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech; bo On to czyni, że słońce wschodzi na złe i na dobre, i deszcz spuszcza na sprawiedliwe i na niesprawiedliwe... Bądźcież wy tedy doskonałymi, jako i Ojciec wasz, który jest w niebiesiech, doskonałym jest..."

ideału stanowionego przez społeczność idealną, a realizowanego przez każdą jednostkę dobrej woli. Ta dobroć sama sobie nakazuje solidarność ze społecznością aktualną, o ile ona jeszcze jest niedoskonałą: dusza polepszona musi też chcieć ulepszać prawa społeczne, rozszerzać granice człowieczeństwa. O ile zaś społeczność już jest dobrą, nosząc na sobie już pieczęć ideału, o tyle stosunek jednostki i społeczeństwa aktualnego staje się tożsamym ze stosunkiem jednostki do społeczeństwa idealnego, spontaniczną solidarnością w dobrej woli—choćby nawet wielkie były różnice mniemań o sposobach. Poco więc żmudnie klecić teorje o uniwersalizmie, w których się zawsze coś nie klei, kiedy fakt dobroci załatwia wszystko? Dobroć chce, ażeby społeczeństwo było i o nic już więcej nie potrzebuje głowy łamać.

Postawa, która nie jest ani uniwersalizmem, ani indywidualizmem, ale używa ich jako pojęć względnych, nowego potrzebuje miana — niech nią będzie „personalizm", od „osoby", która jest jedynym rzeczywistym elementem społeczeństwa i od „osobistości", której godność jest w całej kosmicznej rzeczywistości najwyższa [4]).

Ale słowo niczego nie załatwia. Z przełęczy, na której ten znak wbiliśmy, nowe się stwarzają horyzonty. Lecz czas już na wypoczynek: sobie i Czytelnikowi...

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

---

[4]) Personalizm w tym sensie jest postawą, nawet „oficjalnie" chrześcijańską; por. *„Persona significat id, quod perfectissimum est in tota Natura: rem subsistentem in rationali Natura" (Summa Th. I. q. 29. 3. c.)*; rozróżnienie osoby i osobistości: *„Nomen personae* [u mnie: osobistość] *non est impositum ad signaficundum individuum* [u mnie: osoba], *ex parte naturae, sicut aliquis homo; sed rem subsistentem in rationali natura" (I. q. 30. 4. c.).*

WZNIOSŁOŚĆ W „PANU TADEUSZU"

III

KTO choćby raz tylko czytał „Pana Tadeusza", ten chyba nigdy w swych myślach nie odłączy puszcz i lasów litewskich od polowania na niedźwiedzia, a cóż dopiero od gry Wojskiego na rogu.

Otóż niektóre sceny polowania wkraczają, jeśli wolno wierzyć osobistemu wrażeniu, w obręb wzniosłości. Ten zwłaszcza, kto pamięta, jak mocno i burzliwie biło mu serce, kiedy, stojąc podczas obławy na stanowisku, czekał, czy wypadnie na niego — nie zając oczywiście, ale choćby lis, a cóż dopiero wilk albo dzik — zgodzi się zapewne, że ta cisza, wśrod której Mickiewicz każe myśliwym nasłuchiwać, czy jest niedźwiedź, czy go niema, potem coraz głośniejsze naszczekiwanie psów, przechodzące we wrzask i skowyt, a niebawem „krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy", strzały i głośniejszy od strzałów wściekły ryk zranionego niedźwiedzia — że te wszystkie wrażenia słuchowe wywołują w duszy uczucie trwożliwego oczekiwania, które jest jednym z pierwiastków swoistej wzniosłości. Jeszcze chwila — i zaczynają się już wrażenia wzrokowe: „z gęstwy jak z chmur wypadł niedźwiedź nakształt gromu" — powstaje wzniosłość straszliwa, spotęgowana widokiem niebezpieczeństwa życia ludzkiego. Niebezpieczeństwo minęło: padły strzały, i konający niedźwiedź „wyskoczył wgórę jak kot przed chartami i głową nadół runął".

I teraz następuje wspaniały kontrast, ale wciąż jeszcze w obrębie wzniosłości: wzniosłość straszliwa ustępuje miejsca kojącej, pogodnej, ale w tej pogodzie majestatycznej: oto muzyka myśliwska na rogu, odbijając się echem o dęby i buki, idzie... w nieskończoność,

. . . . „coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz ciszsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu".

Teraz jesteśmy już na pograniczu wzniosłości zjawisk natury a wzniosłości dusz i czynów ludzkich: gra na rogu jest przecie sztuką Wojskiego.

A nie ta jedna sztuka jest w „Panu Tadeuszu". Jest wzniosły taniec. Tak, powiedzieć, że Podkomorzy wodzi poloneza z wdziękiem, byłoby jednocześnie za dużo i za mało. Zosia jest w tańcu pełna wdzięku (jak zresztą wszędzie), ale nie Podkomorzy: on jest wzniosły — w tańcu, pełnym już nie powagi (bo i to byłoby za mało), tylko dostojności, tem większej, że przemawia w niej wiekowa tradycja obyczaju polskiego; poznali się na tem starsi widzowie, i z piersi wyrwał się im okrzyk:

„Ach! to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!"

A cóż dopiero powiedzieć o znowu innej sztuce — o koncercie Jankiela! Wzniosły jest tutaj sam mistrz — przez swoje natchnienie, którego objawy zewnętrzne uplastycznia Mickiewifz w kilku tylko, ale potężnych rysach, i przez wielką, spotęgowaną przypływem natchnienia biegłość w swojej sztuce; wzniosłą jest i sama treść muzyki (od pogody i majestatu przez okropne zgrzyty i cichą żałość aż do tonów triumfalnych). A ta wzniosła treść budzi w sercach słuchaczów całą gamę wzniosłych uczuć patrjotycznych — nietylko na wspomnienie niedawnych, to radosnych, to okropnych wypadków dziejowych, ale i pod wpływem błogiej nadziei odrodzenia ojczyzny. Tym zaś wrażeniom dał Mickiewicz wyraz artystyczny nierównie silniejszy i bardziej szczegółowy, niż wrażeniom słuchaczy gry Wojskiego na rogu, przez co wzniosłość koncertu niepomiernie zyskuje.

Nie pierwszy to raz mieszkańcy Soplicowa karmili swe serca nadzieją patrjotyczną. Przypomnijmy sobie owo wspaniałe zakończenie księgi pierwszej:

„Takie były zabawy, spory w one lata
Śród cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła, gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabór
Biegły przed nim i za nim".

Lecz wzniosłość zakończenia pieśni pierwszej polega nietylko na wspaniałym w swojej pla-

styce obrazie potęgi Napoleona, ale i na wyrazie tych potężnych wzruszeń, jakie na wieść o jego zwycięstwach ogarniały serca polskie na Litwie i wielkości poświęcenia tych, którzy

„Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,
I dobra, które na skarb carski zabierano".

Tutaj, jak w koncercie Jankiela, a po części i w obrazie wiosny 1812 roku, wzniosłość jest jednocześnie podniosłością — uczuć patrjotycznych.

Ale to jeszcze nie wszystko. Stanisław Pigoń w swoich dwóch przepięknych studjach, stanowiących koronę badań nad genezą i stroną ideową „Pana Tadeusza"[1]), dopatrzył się w nim jednego wielkiego czynu patrjotycznego, tak wielkiego, że go Mickiewicz dźwignął aż na wyżyny religijne. Czynem tym — pojednanie Dobrzyńskich z „Litwą", to jest drobnej szlachty mazurskiej z litewską. Otóż, zważywszy, że Mickiewicz na tej właśnie szarej masie opierał swoją wiarę w odrodzenie Polski, pojednanie jest nie czem innem, tylko koniecznym warunkiem i pierwszą zapowiedzią wznowienia starodawnego ślubu, którym „wielki naród, Litwa, połączył się z Polską, jako mąż z żoną, dwie dusze w jednem ciele"; to zaś „połączenie i ożenienie Litwy z Polską jest figurą przyszłego połączenia ludów chrześcijańskich w imię wiary i wolności", czyli że jest zapowiedzią, albo raczej już początkiem Królestwa Bożego na ziemi.

Pigoń ma niewątpliwie słuszność: ta idea jest w „Panu Tadeuszu". Dlaczego jednak nikt nie dopatrzył się jej wcześniej od Pigonia? Nietylko dlatego, że nikt przed nim nie wniknął tak głęboko w genetyczną i ideową stronę poematu, ale i dlatego, że tej swojej ukochanej idei patrjotyczno-religijnej nie uwydatnił Mickiewicz ani tak szczegółowo, ani z tak wielkim nakładem artyzmu, jak inne pierwiastki treści. Gdyby ją uwydatnił, gdyby wszystkie jej rozproszone ogniwa skupił w jedną wielką całość artystyczną, byłby ten obraz najwyższym szczytem wzniosłości moralnej w „Panu Tadeuszu". Ale że takiego wielkiego obrazu niema, jej szczytem jest co innego: spowiedź przedśmiertna Jacka Soplicy.

Jak w „Konrada Wallenroda", jak w „Farysa" jak w „Improwizację", jak w lirykę religijną, tak i w spowiedź umierającego Jacka włożył Mickiewicz wszystko, co było wielkiego i świętego w jego własnej duszy, oraz część własnego życia. On nie popełnił zbrodni, jak Jacek, ale moralnie upadał nieraz, zdawał sobie z tego sprawę przeraźliwie jasno, z każdego upadku się dźwigał i podnosił wyżej. I dlatego właśnie ta spowiedź, chociaż w tych grzechach, które wyznaje na łożu śmierci Jacek, i w tych czynach pokuty, heroizmu i niemal świętości, któremi grzechy swoje odkupił, jest tylko w małej cząstce własną spowiedzią Mickiewicza, — jest nią całkowicie w swoim duchu, w świadomości własnych upadków moralnych, zwłaszcza grzechu pychy, oraz we własnej skrusze, we własnem dążeniu do ideału patrjotycznego i wogóle religijno-moralnego, który ze wszystkich ideałów ducha ludzkiego był mu świętością najświętszą i do którego dążenie stanowiło, pomimo upadków, najistotniejszą treść jego człowieczeństwa.

[1]) „Wstęp" do wydania w „Bibljotece Narodowej" i książka: „Pan Tadeusz, wzrost, wielkość i sława". Warszawa, 1934.

I właśnie ten pęd swojej duszy usymbolizował Mickiewicz w spowiedzi Jacka i, korzystając z prawa fantazji poetyckiej, uwieńczył tę najwyższą w swojej świętej podniosłości wzniosłość ducha ludzkiego jej realizacją: człowiek pyszny staje się pokornym, zbrodniarz — pokutnikiem, składającym na ołtarzu miłości Boga i ojczyzny wszystko, co miał, nie wyłączając własnego życia i czegoś jeszcze o wiele droższego od własnego życia — miłości jedynego dziecka:

„I pocóżby miał wiedzieć, biedny, że ma ojca,
Który się skrył przed światem, jak łotr, jak zabójca?
Bóg widzi, jak pragnąłbym, ale z tej pociechy
Zrobię Bogu ofiarę za me dawne grzechy".

Wrażenie wzniosłości spowiedzi Jacka wzmaga się jeszcze dzięki jedynej w całym poemacie odrębności wiersza — inaczej niż w „Powieści Wajdeloty", w której straszliwy tragizm duszy ludzkiej jest zaklęty w spokojną, niewzruszoną formę heksametru. A i w „Panu Tadeuszu" wzniosłość przemawia w pełnym wierszu trzynastozgłoskowym — z wyjątkiem jednej jedynej spowiedzi Jacka: wiersz urywa się raz po raz, co jest artystycznym odpowiednikiem słabnięcia sił fizycznych konającego człowieka i bólu, rozdzierającego mu serce. Przypomina się nierówny wiersz „Improwizacji" Konrada...

Nie dosyć na tem. Jacek

. . . . . „mówił nieporządnie, często mięszał skargi
I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał,
Jakgdyby już ją kończył, i znowu zaczynał".

Przypomina się tu jeszcze — w poemacie epickim — spowiedź Gustawa w młodzieńczym dramacie lirycznym, tylko że porównywanie tych dwóch postaci trąciłoby bluźnierstwem: obydwie są wzniosłe, ale Gustaw — przez wielkość swojej nieszczęśliwej miłości ziemskiej i rozpaczy, a Jacek — przez już nieziemską podniosłość moralno-religijną, najwyższą, na jaką się poezja polska przez cztery wieki swego istnienia zdobyła.

Ale i to jeszcze nie wszystko. W ramach spowiedzi Jacka jest krótka, ale także podniosła scena: dziki i mściwy klucznik, którego ręce są zbroczone skrytobójstwem, a dusza splamiona prywatą, przebacza Jackowi w obliczu jego śmierci, pomimo że zaprzysiągł sobie za zabójstwo swego pana dozgonną zemstę. To zaś przebaczenie jest jednocześnie ulgą i dla umierającego Jacka, i dla czytelnika.

Lecz tuż potem następuje inna jeszcze ulga (tak znamienna dla całej wogóle poezji Mickiewicza), a pełna majestatycznej wzniosłości. Oto przychodzi wiadomość, budząca w duszy radosny dreszcz:

. . . . „w cesarskim tajnym gabinecie
Stanęła wojna; Cesarz już po całym świecie
Ogłasza ją; Sejm walny, w Warszawie zwołany,
I skonfederowane Mazowieckie Stany
Wyrzeką uroczyście przyłączanie Litwy.
Jacek, słuchając, cicho odmówił modlitwy,
Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę,
Podniósł w niebo zatlone nadzieją źrenice
I zalał się ostatnich łez rozkosznym zdrojem.
„Teraz — rzekł — Panie, sługę twego puść z pokojem!"
Wszyscy uklękli, a wtem ozwał się przed progiem
Dzwonek, znak, że przyjechał pleban z Panem Bogiem".

Genjalna nauka Arystotelesa o uldze w tragedji, w żadnej chyba tragedji nie święciła tak wielkiego triumfu, jak w „Panu Tadeuszu", poemacie epickim: wzniosłość tragiczna, bolesna przeradza się we wzniosłość błogosławionego spokoju i niebiańskiej ciszy.

(Dok. nast.) IGNACY CHRZANOWSKI

NA WIDOWNI

„Świątynia" masońska w Warszawie. — Czy będzie piękna. — Zmiana taktyki masonerji w Polsce. — Milczenie i wielomówność. — Czy ten nowy system da wyniki. — O powodzi i modlitwie.

Z ZACIEKAWIENIEM przeczytałem w dziennikach wiadomość, iż — jak podaje „Księga błękitna wolnomularstwa" na rok 1934 („*Das Blaubuch der Weltfreimaurerei*", *Jahrbuch 1934*, *Saturn Verlag*, *Wien*) — „czynione są przygotowania do budowy w Warszawie świątyni masońskiej kosztem 300 tysięcy złotych". Oczywiście, to zainteresowanie moje nie wypływało bynajmniej z nadzieji, iż miasto nasze zyska w ten sposób jakąś nową, monumentalną ozdobę. Zgóry gotów jestem przewidywać, iż projektowana budowla będzie pod względem wartości artystycznej czemś na miarę synagogi w. m. na Tłomackiem. (Rzecz zrozumiała, nie o styl architektury tutaj chodzi — ten odmienia się z modą — ale o polot ducha twórczego, o gatunek inspiracji...).

Tej uwagi nie podyktowała mi złośliwość, lecz poprostu obserwacja faktu, któremu nikt nie może zaprzeczyć, a który niewątpliwie zasługuje na zanotowanie i rozważenie. Ktokolwiek widział owe gmachy świątyń masońskich w Anglji albo we Francji, musi zaświadczyć o brzydocie i pospolitości tych budynków, i najbardziej nawet fanatyczny wolnomularz nie ośmieli się wystąpić z poglądem, że jego *templum* mogłoby być uznane za dzieło sztuki, dorównywające pięknością katedrze w Chartres, lub harmonją — kolumnadzie Partenonu. Nie ubóstwo masonów jest tu przyczyną — nie wśród nędzarzy rekrutował się Stawiski i jego wspólnicy—wyjaśnienia szukać tedy należy gdzieindziej. I czyż to właśnie, jak dalece świątynie masońskie nie zdołały stać się natchnieniem dla artystów, nie jest równocześnie świadectwem, nie jest widomym znakiem duchowej niższości sekty, już nietylko w porównaniu z chrześcijaństwem, lecz i z pogaństwem?

Informacja wszakże „Księgi błękitnej" i z innych względów warta jest zwrócenia na nią baczniejszej uwagi. Wskazuje bowiem na nową najzupełniej taktykę, jakiej w swojej działalności i propagandzie zaczyna teraz trzymać się organizacja wolnomularska w Polsce.

Doniedawna samo wspominanie o masonerji przedstawiano jako dowód ignorancji i zacofania, pomówienie kogoś, iż jest wolnomularzem, uchodziło za szczyt nietaktu i braku powagi. Sekta usiłowała ukryć wszystko, nawet sam fakt swojego istnienia, i ośmieszaniem starała się zwalczyć tych, co twierdzili, że ma w Polsce swoje loże i że działa. Rachowano na nasz partykularz, na niewiedzę o stosunkach w szerszym świecie i za najlepsze uznano nie dopuszczać wogóle do poruszania tak drażliwego z wielu względów tematu...

Dzisiaj system ten uległ zmianie zasadniczej, i dalsze wypieranie się w żywe oczy okazało się już metodą niecelową, nawet niebezpieczną: nie zdołano zmusić przeciwnika do milczenia, a samemu wyrzekano się niejako zgóry możliwości propagandy i obrony. To też ostatnio masoni piszą o swojej sekcie dużo, a podając wiadomości niby „objektywne", starają się przedstawić ją w barwach sympatycznych, jako stowarzyszenie o charakterze filantropijno-ideowym, gdzie niewinną zupełnie tajemnicą są właściwie „jedynie znaki rozpoznawcze i obrzędy". Przed kilkoma tygodniami ukazała się księga o 360 stronicach, na kosztownym papierze, sprzedawana po 5 zł. za egzemplarz p. t. „Wolnomularstwo w świetle encyklopedyj — Wypisy". Niepodpisany autor, niepodpisany tłumacz czy też tłumacze przytaczanych ustępów francuskich, niemieckich, angielskich, niepodpisany wreszcie i wydawca-filantrop, który tom gruby gotów oddawać poniżej ceny druku i papieru. Nikt nie bierze odpowiedzialności za ścisłość przekładów, za rzetelność danych biograficznych, bibljograficznych i t. d. Obok wyliczenia książek, życzliwych dla masonerji, wymienia się tam — w imię „bezstronności" — i polską literaturę antymasońską: szereg broszur nieprzekonywających i bałamutnych, starannie przemilczając jednak dzieła takie, jak np. „Zmierzch Izraela" Rolickiego. Cała praca ułożona jest zresztą w ten sposób, żeby rola w wolnomularstwie żydostwa najzupełniej była pominięta i ukryta.

Podobnej taktyce bardzo skutecznie służyć też może zbudowanie „świątyni masońskiej" w Warszawie. Popierwsze zwalczać będzie niewygodną suggestję, że masonerja jest czemś wstydliwem, że należenie do niej kompromituje; przeciwnie: jawnie pozwoli stanąć w jej szeregach, oficjalnie głosić jej chwałę. Powtóre, rezygnując z ukrycia tego, co i tak znane, tem łatwiejszą uzyskuje się sposobność rzeczywistego zakonspirowania pewnych ludzi, pewnych działań i prawdziwej hierarchji organizacji. Jak wygodna będzie wówczas odpowiedź: „Pan X nie należy do masonerji, wszak można to sprawdzić bez trudu, że nie uczęszcza na obrzędy do świątyni i nazwisko jego nie figuruje w spisie członków"...

Jedno wszakże jest niezmiernie znamienne, mianowicie, że te sposoby taktyczne, od lat dziesiątków używane w krajach zachodnio-europejskich, u nas zaczyna się stosować jako nowość — i to dziś właśnie, gdy na Zachodzie wolnomularstwo w coraz groźniejsze popada trudności i kłopoty (walka państwa z masonerją we Włoszech i w Niemczech, potężny ruch przeciwmasoński opinji publicznej we Francji po sprawie Stawiskiego itd.). Masonerja przywykła traktować Polskę jako kraj zapóźniony, i metody, które gdzieindziej już zawodzą, tu w dalszym ciągu uważa za najodpowiedniejsze, najbezpieczniej wiodące do celu...

— — — — — — — — — — — —

Piszę te słowa, powróciwszy z nad brzegu Wisły, gdzie patrzyłem na rosnącą wciąż falę powodzi, na bystry nurt, niosący połamane szczątki drzew i domostw, na przeciekające pod zalewem wały ochronne. Jakże bezbronny, pomimo wszystko, jest człowiek w obliczu sił, które warunkują bezpieczeństwo jego istnienia, jak najdrobniejsze zwichnięcie ich równowagi — trochę deszczów niespodzianych na Podkarpaciu—już się staje przyczyną katastrofy, już go czyni niezdolnym, by jej zapobiec!... Cóżby było, gdyby woda wzniosła się o jeszcze kilka metrów wyżej, gdyby jeszcze podwoiła się moc jej naporu?

Czytałem w dziennikach o zarządzeniu w archidjecezji warszawskiej modłów publicznych, *coram*

Sanctissimo exposito, z suplikacjami „Święty Boże, Święty Mocny" o odwrócenie klęski. I znowu powróciła mi na myśl ta śmieszna „świątynia masońska", która „kosztem 300 tysięcy złotych" ma zostać wybudowana w stolicy. Do kogo, w podobnych chwilach, będą się tam modlili panowie w zabawnych fartuszkach, przed kim ukorzą się, skąd będą oczekiwali zmiłowania?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

WRAZ Z POKOLENIEM TEGOROCZNYCH MATURZYSTÓW wchodzi w życie zastęp ludzi, których najdawniejsze wspomnienia nie sięgają już czasów niewoli. Ludzie ci mieli już czas wychować się i zdać swe „egzaminy dojrzałości" w wolnej Polsce. Nie mieli oczywiście czasu dojść do jakiejkolwiek samodzielności umysłowej. Ich pojęcia o sprawach publicznych dają obraz pojęć ich wychowawców, załamany na tafli młodocianych umysłów. Tu w całej pełni objawia się niebezpieczeństwo obcowania duchowego starych, zgiętych psychicznie, z młodymi i zdrowymi. Obcowanie to odbywa się za pośrednictwem metod „wychowania państwowego". Trzeba zajrzeć w dusze przedstawicieli pokolenia najmłodszego, aby zdać sobie sprawę ze spustoszenia, jakie zrządza w nich ta doktryna, zaczerpnięta od nauczycieli, poprawiona w pisemkach młodzieży, które nie są jej pisemkami, uproszczona na zebraniach dyskusyjnych fikcyjnego samorządu szkolnego, zbrutalizowana w ideologji „Legjonu Młodych". Dopiero zajrzawszy do „świata myśli" tej młodzieży, uprzytomnić sobie możemy całą bezwzględną szkodliwość „ideologji państwowej", wrażanej w te nieskrzywione psychicznie młode dusze. Kreślimy te słowa z pełnem poczuciem odpowiedzialności. Szkodliwa stanowczo jest metoda wychowawcza, która na świat wyprowadza abiturjentów z poglądem, że państwo to rzecz dobra, ale naród, ojczyzna — to „głupstwo". O poglądach tych niewiele dotychczas wiedzieliśmy, bo nie było czasu na zaobserwowanie działania pedagogicznego doktryny w praktyce; dlatego też skutki te teraz dopiero wyjawiają się, sprawiają taki mocny efekt niespodzianki. Ideologja, która wprowadza podobny galimatjas do głów młodzieży, jest rozkładowa i powinna być ze szkół usunięta. I nie trudno w gruncie rzeczy zrozumieć, czemu tak fatalne okazuje się jej oddziaływanie. Dawka trucizny, lecznicza dla chorego, okazać się może zabójcza dla zdrowego. Ideologja „państwowa" i doktryna „państwowego wychowania" były wynalazkiem pokolenia psychicznie chorego, które czuło w duszy swojej brak pierwiastków „państwowych". Zapytajcie którego z przedstawicieli tego pokolenia, a odpowie wam, że potrzebna jest ta przesada, bośmy zbyt długo myśleli tylko narodowo, a mi państwowo; że teraz, dla przywrócenia równowagi, trzeba akcentować tylko państwo... Rozumowanie takie samo, jak to: pręt jest zgięty, trzeba go zgiąć w przeciwnym kierunku, będzie prosty. Tylko, że pręt prosty, poddany tej operacji, wykrzywi się gwałtownie. Dla dusz przedstawicieli starszego pokolenia, zgiętych w niewoli, ideologja państwowa mogła być rodzajem jakiejś auto-terapji; ale zgiąć i wypaczyć musi bezlitośnie dusze zdrowe i proste, umysły, które jednostronność jej i przesadę, rzekomo zbawienną, przyjmują naiwnie, bez oporu. Doktryna była obliczona na opór: wywołała nieprzewidziane skutki, gdy (w kołach młodych piłsudczyków) spotkała się z oporem psychicznym — papugi. Natychmiast została przez nich ulepszona i uproszczona. Starsi, którzy ją wynaleźli, nie chcieli właściwie powiedzieć, że ojczyzna to rzecz nieładna: ale papugi tak właśnie, trochę prościej, — pochwyciły to i powtarzają... Olśniewające niespodzianki, jakie sprawia zetknięcie się nagłe ze światkiem „myśli" najmłodszych wychowanków tego obozu, nie są więc właściwie niespodziankami; ale ileż zła zostaje do odrobienia! Napompowane bzdurą młode głowy odrzucą z czasem głupstwo, dochodząc kiedyś do większej samodzielności umysłowej; ale co powiedzieć o systemie, który dusze te, proste i zdrowe, u samego początku ich samodzielności przez pomyłkę deprawuje.

WYJĄTKI Z PISM JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

ogłoszonych w zbiorowem wydaniu prac p. t. „Pisma — mowy — rozkazy". Tom VIII. Warszawa, 1931.

W POLSCE

„Polska jest może jedynym krajem, obecnie istniejącym wśród wielu innych narodów i krajów, gdzie jest możliwem jeszcze mówienie swobodnie o rzeczy, tak kompromitującej człowieka, jak kryminał... W Polsce więzienie jest stałym, codziennym jakgdyby towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski" (str. 275. „Psychologja więźnia" odczyt wyłoszony 24 maja 1925 roku).

„Jeden z naszych wielkich pisarzy mówił w cudownym wierszu do matki - Polki: „wcześnie okręcaj łańcuchem szyję dziecka, naucz go oddychać parą zgniłą i wilgotną". (str. 276, tamże).

W NIEMCZECH

W czasie wojny w r. 1917, stary generał niemiecki w Weslu, gdzie Piłsudski był więziony przez miesiąc: „Oświadczył mi on z całą otwartością, że zaprotestował stanowczo przeciw temu, aby w twierdzy, którą on dowodzi, postępowano z którymkolwiek z więźniów wbrew prawu pruskiemu, zabraniającemu, według niego, trzymać kogokolwiek w odosobnieniu i samotności, prócz tych, którzy albo znajdują się pod śledztwem, albo sądownie na karę odosobnienia zostali skazani". (str. 265. Przedmowa do „Moich pierwszych bojów", napisana 7 lutego 1925 r.).

W WIĘZIENIU ROSYJSKIEM

„Bardziej swobodnie niż w dawnych więzieniach polskich za czasów dawnych, rosyjskich, być, zdaniem mojem, nie mogło, Dlatego bodaj w cytadeli, za czasów przynajmniej mego pokolenia, ludzie najmniej się męczyli, najswobodniej czuli. Czuli się więcej panami więzienia, niż było gdzie-

indziej. Jest to rodzaj współpracowania nad więzieniem z tymi, którzy przemocą trzymają" (str. 292/3. „Psychologja więźnia").

W WIĘZIENIU NIEMIECKIEM

W Szpandawie pod Berlinem: „Podczas mojego tam pobytu życie więzienne wrzało poprostu i słychać je było na każdym kroku. Każdy miał inne zajęcia, każdy inaczej pracował. Wszystko chodziło, biegało, rozmawiało, nie było tam, poza samą karą, żadnej chęci zrobienia więźniom jakiejkolwiek przykrości" (str. 294 tamże).

W Magdeburgu: „Mieszkałem zresztą wcale wygodnie. Do rozporządzenia miałem na pierwszem piętrze trzy cele: pokój sypialny, coś w rodzaju pokoju, w którym mogłem kogoś przyjąć... i trzeci — pokój jadalny. Wszystkie trzy cele, dzień cały otwarte, wychodziły na ogródek, w którym było kilka drzew owocowych i trochę niewielkich krzewów czy roślin... Na razie wolno mi było spacerować w ogrodzie przez trzy godziny dziennie, potem przestano mnie w tem krępować i miałem prawie cały dzień do zmierzchu otwarte drzwi z górnego piętra do ogrodu" (str. 260. Przedmowa do „Moich pierwszych bojów").

„Miałem zatem (w Magdeburgu, przyp.) najswobodniejsze więzienne życie, o jakiem można było marzyć" (str. 293. „Psychologja więźnia").

NAUKA i LITERATURA

NOWY PODRĘCZNIK PSYCHOLOGJI EKSPERYMENTALNEJ

Podręcznik psychologji eksperymentalnej znakomitego współczesnego psychologa niemieckiego O. Jana Lindworsky'ego S. J., profesora niemieckiego Uniwersytetu w Pradze, spotkał się odrazu po ukazaniu się pierwszego wydania oryginału w r. 1921 z nader przychylną oceną fachowców. O jego wartości świadczą nietylko pochlebne recenzje i stałe wzmianki w najnowszych dziełach i rozprawach psychologicznych, lecz także to, że było już dotąd pięć jego wydań niemieckich, a ponadto szereg tłumaczeń na języki obce (hiszpański, włoski, angielski). Niedawno zaś ukazał się ładnie wydany przekład polski [1]).

Dzieło o. Lindworsky'ego naogół znacznie odbiega swym układem i stylem od innych podręczników tego rodzaju. Autor stoi na stanowisku, że psychologja eksperymentalna nie należy do filozofji, lecz jest nauką szczegółową. Psycholog i filozof mogą i powinni badać nieraz te same zjawiska psychiczne, ale badania muszą być prowadzone z różnych punktów widzenia. „Psychologja" — według autora—„bada jednostkowe zjawiska psychiczne, chce poznać sposób, w jaki one występują. Natomiast filozof zajmuje się drugą grupą zagadnień: stawia sobie duszę, jako podłoże zjawisk świadomości, za właściwy przedmiot tych badań" (Str. 1). To stanowisko jest konsekwentnie utrzymane w całem dziele. Autor, ściśle wszędzie trzymając się tematu, nie wykracza nigdzie poza granice psychologji eksperymentalnej i nie porusza żadnych problematów z zakresu psychologji racjonalnej, będącej częścią filozofji. Już to samo wyróżnia bardzo dodatnio ten podręcznik z pośród innych, w których autorowie najczęściej starają się nietylko wyłożyć wyniki psychologji eksperymentalnej, lecz także oświetlić je ze swego stanowiska filozoficznego i narzucić czytelnikowi swe poglądy metafizyczne. Nie wynika z tego bynajmniej, aby autor zaprzeczał możliwości uprawiania psychologji racjonalnej, bądź też związku tej ostatniej z eksperymentalną. Bynajmniej. Podkreśla on usilnie to, że wyniki osiągnięte przez tę ostatnią powinny służyć za punkt wyjścia i oparcia w rozważaniach psychologji racjonalnej. Nie należy tylko mieszać tych dwu nauk między sobą; każda z nich musi przestrzegać jedynie, aby nie wykraczała ze swego terenu i z zakresu swych zadań.

Nie to jedno wyróżnia tę książkę. Napisana bardzo jasno i przystępnie, aczkolwiek niezwykle zwięźle, daje ona doskonałe pojęcie o tej nauce, wprowadza w mistrzowski sposob czytelnika do jej warsztatu, zaznajamia z jej metodami i pozwala zorjentować się w tendencjach i kierunkach w niej nurtujących. Cechuje ją ścisłe i precyzyjne sformułowanie zagadnień; niejeden problemat jest rozwiązany przez autora w niezwykle oryginalny sposób. Podręcznik składa z pięciu części. W pierwszej omawia się wrażenia zmysłowe, wyobrażenia i najprostsze procesy psychiczne. W drugiej prawa odtwarzania i kojarzenia wyobrażeń. W trzeciej wyższe wytwory poznawcze t. j. uczucia wyższe i różne przejawy woli. Część czwarta jest poświęcona wytworom psychicznym, podlegającym wpływom zbiorowiska ludzkiego, jak np. mowa, obyczaje, sztuka, religja. Wyjątkowe stany duszy, także jak sen lub hypnoza, są omówione w części ostatniej.

Lindworsky, którego poglądy na rolę, zadania i metody badań psychologji eksperymentalnej są zbliżone naogół do szkoły Külpe'go jest twórcą szeregu teoryj i hypotez, szczegółowo uzasadnionych w różnych jego specjalnych pracach, które wyjaśniają nieraz w zupełnie nowy i pomysłowy sposób przeróżne fakty psychiczne. Jego własne badania i poglądy są w podręczniku wyłożone zwięźle i przystępnie. Dlatego tą książką może się zainteresować także czytelnik, bardziej zaznajomiony z psychologją. Oświetli ona mu różne dobrze znane skądinąd zjawiska w sposób zupełnie nieoczekiwany. Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na stworzoną przez Lindworsky'ego teorją relacyj, odegrywającą w jego systemie psychologji ogromną i zasadniczą rolę, zapomocą której stara się on wytłumaczyć przeróżne zjawiska, dotyczące świadomości. Ciekawie się przedstawia jego analiza zagadnienia postaci, czyli układów spoistych. Niezwykle pomysłowe jest proste wytłumaczenie zagadkowego dotychczas zjawiska paramnezji, które tylekroć dawało asumpt do powstania tylu fantastycznych teoryj. Teoretyków sztuki i estetyków powinno zainteresować jego oświetlenie, ze stanowiska psychologji, problematu piękna i przedmiotów pięknych. Należy zwrócić także uwagę na rozdziały, poświęcone omówieniu zjawiska snu i marzeń sennych. Znajduje się tam spokojna i rzeczowa, a zarazem druzgocąca krytyka Freuda i freudyzmu. Warto też zaznajomić się z bardzo subtelną analizą objawów woli. Aczkolwiek nie wszystkie twierdzenia autora uzyskały powszechne uznanie pomiędzy psychologami, tem nie mniej znajomość ich jest dla osób, zajmujących się psychologją eksperymentalną, nader pożyteczna a nawet konieczna.

Polski przekład książki przedstawia się dodatnio. Tłumacz szczęśliwie przezwyciężył trudności, które stawiał niezwykle zwięzły i ścisły styl autora. Dlatego też polskie wydanie tego podręcznika zasługuje na jaknajwiększe rozpowszechnienie. Książka ta będzie wielką pomocą nietylko przy studjach uniwersyteckich lub badaniach filozoficznych, lecz także dla tych wszystkich, kogo interesuje życie psychiczne człowieka.

LAMBDA

[1]) Ks. Jan Lindworsky T.J.: „Psychologja eksperymetalna". Przełożył ks. Marjan Piechowski T. J., przejrzał ks. Józef Chechelski T. J. Kraków, 1933. Wydawnictwo Księży Jezuitów. Str. XVI + 312. Cena 6 zł.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zenon Koterba-Dziubas, autor zbiorku „Tańczący w sadzie" (Kraków, nakł. Klubu Literatów), jest niewątpliwie poetą utalentowanym. Co ważniejsza, jest oryginalnym, „samoswoim", jak mówił Żeromski. Nie należy do żadnej ze „szkół" literackich, więc też niema w nim nic ze szkolarstwa i doktrynerstwa, jakiem zaraziły poezję pewne dominujące dziś czynniki. Przedewszystkiem nie żonglujo słowami dla pokrycia braku treści; patrzy na świat poprostu, mówi o tem, co naprawdę w nim widzi i wyczuwa. Nie potrzebuje wyszukiwać tematów, bo mu się same narzucają. Przychodzą do niego same, z tej wsi, gdzie poeta w środowisku ciężkiej pracy spędził swe dzieciństwo. Poezja tam się iści — prawdziwa:

„Myślałem, że to tylko w wierszach moich
niebo jest takie przedziwnie niebieskie,
a tu się żywa prawda podwaja i troi
w lustrach stawisk ciekliwych, w szybach chaty wiejskiej
A tu gwarzą do rymu skowronki z świerszczami
i wszystko żyje, czuje to, co było słowem
w wierszach, pisanych z trudem głuchemi nocami..."

Prześliczny jest wiersz, drgający prawdą i osobistem przeżyciem, „Prosty ojciec o synu poecie". Pokrewny jest mu tematem, ale w tonie inny, raczej wesoły wiersz „Pierwsze skarpetki", gdzie autor wskazuje, ile poezji mieści się w najbardziej szarych i „prozaicznych" sprawach dnia powszedniego; z takich to faktów szarych wysnuwał kiedyś Prus najszczerszą poezją tchnące opowieści. Wydaje mi się, że Koterba mógłby być również nowelistą; pierwiastek opisowy, nawet pewna akcja zawsze niemal przetyka jego wiersze liryczne „Ludzie wsiowi w karczmie". Ma on przed sobą zapewne drogę wytkniętą; choć będzie musiał niejednego jeszcze się na niej nauczyć. I nauczy się pewno, bo ma w tym kierunku własną, niezblazowaną inteligencję, wiarę w siebie, zapał i wytrwałość. I rzetelność poetyckiego obowiązku:

„To wam, panowie, zostawiam gorące słowa o sztuce,
epopeję wywodów, szermierkę giętkiej blagi —
wolę dziurawe buty, w potoku prane onuce,
młode wesołe serce i pień akacji nagi!

Samorodnością swego talentu i chłopską, rzetelną naturą przypomina Koterba Ciesielczuka — ale jest od niego bardziej zamaszysty i młodzieńczy. (J. B.)

*

„Młody Polak w Niemczech", miesięczny dodatek ilustrowany do pisma „Polak w Niemczech", wydawany we Wrocławiu, Tanentzienstrasse 90-I, w numerach za ostatnie miesiące podaje szereg popularnych artykułów o pięknie miast i krajobrazów Polski, wiadomości o spółczesnem życiu kulturalnem, jak naprzykład o setnej rocznicy wydania „Pana Tadeusza", wiadomości o spółczesnej nauce, literaturze i sztuce polskiej, wiadomości z dziedziny sportu i życia towarzyskiego młodzieży w Prusach Wschodnich, na Śląsku Niemieckim, w Westfalji i Łużycach. Polacy tamtejsi, robotnicy, rzemieślnicy i ich dzieci starają się nie zatracić duchowego związku z myślą polską, co przejawia się w utrzymywaniu, w ramach przepisów urzędowych, różnych Towarzystw i Związków, chórów kościelnych, teatrów amatorskich, bibljotek i zawodów sportowych.

„Miesięcznik „Młody Polak w Niemczech" wydawany jest w ozdobnej okładce, każdego miesiąca innej, komponowanej na motywach polskich wycinanek ludowych. Wśród korespondencyj ze świata, w numerze z maja, zamieszcza nadzwyczaj ciekawy artykuł p.t. „Polak królem wyspy podzwrotnikowej", na podstawie pamiętnika Polaka, Faustyna Wirkusa, syna polskiego emigranta, robotnika. W pamiętniku tym, wydanym z przedmową podróżnika W. Seabrok'a, Faustyn Wirkus, urodzony w Ameryce, porucznik strzelców marynarki amerykańskiej, opowiada o swych przeżyciach na wyspie Haiti, w rzeczpospolitej murzyńskiej, przed przeszło stu laty należącej do Francji, obecnie pod protektoratem Stanów Zjednoczonych. Administracyjnemu obwodowi Haiti podlega też wyspa Gonowa, zamieszkała przez murzynów ze znaczną domieszką krwi polskiej. Są to potomkowie Polaków, żołnierzy napoleońskich, mieszańcy, o typie, zbliżonym do słowiańskiego, białej skórze, jasnych włosach i niebieskich oczach. Wirkus mianowany w 1920 r. komendantem obwodu na Haiti, przyczynił się do uwolnienia „królowej" wyspy Gonowa i gromady tubylców, uwięzionych z racji rozruchów ekonomicznych, udzielał im opieki lekarskiej i rad gospodarczych. A że przez dziwny zbieg okoliczności, sławny, dawno zmarły, „król" wyspy miał również na imię Faustyn, więc też ludność uznała Wirkusa za nowe wcielenie dawnego swego władcy. Gdy w roku 1925 mianowany został zarządcą Gonowy, ludność powitała go radośnie, a królowa oznajmiła mu uroczyście, że wybrany został królem, Faustynem II-gim.

Zdarzenie to przypomina egzotyczne przygody, opisane w pamiętnikach Beniowskiego, króla Madagaskaru, żołnierza z r. 1831, emigranta, osiadłego w Afryce. (A. W.)

TEATR

ROZKOSZNA DZIEWCZYNA

W TEATRZE POLSKIM — operetka. Przezwana dla przyzwoitości „komedją muzyczną". Potrosze dla przyzwoitości — ze względu na pamięć górnych niegdyś ambicyj owego teatru — potrosze zaś dlatego, że termin „operetka" wyszedł z mody. Operetka — to coś staroświeckiego. Coś, co pachnie naftaliną. Rozrywka dla zgniłej burżuazji z epoki kapitalistycznej. Na operetkę szanującym się snobom z Ipsu chodzić poprostu nie wypada. Tymczasem na komedję muzyczną esteta dzisiejszy może pójść bez najmniejszego skrupułu. To nie kompromituje. To modne. To eleganckie. To kulturalne.

Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej wstydziłoby się wystawić „Wesołą wdówkę", czy „Cnotliwą Zuzannę". Ale „Rozkoszną dziewczynę" wystawić można śmiało. To przecież „komedja muzyczna". *Prestige* poważnego teatru dzięki tej etykietce zostaje ocalony.

Komedja muzyczna p. t. „Rozkoszna dziewczyna" została skomponowana przez Ralfa Benatzky'ego.

Zdaniem znawców muzyki lekkiej posiada ona podobno muzyczne walory.

Nie jestem ani znawcą muzyki, ani bodaj człowiekiem muzykalnym, więc o walorach owych głosu nie zabiorę.

Fabuła widowiska bardzo niewyszukana. Tuwim przyprawił ją obficie dowcipami. Teksty piosenek bardzo niemądre, ale opracowane starannie. Staranna jest również reżyserja p. Warneckiego. Bardzo dobra gra aktorów.

Panna Romanówna, jak się okazuje, jest nie tylko bardzo zdolną aktorką dramatyczną, ale również utalentowaną śpiewaczką. Bardzo przyjemna niespodzianka.

Partnerami Romanówny są Igo Sym i Adolf Dymsza, których dotychczas mieliśmy sposobność oklaskiwać przeważnie na scenkach kabaretowych.

Na wielkiej scenie prezentują swoje talenty w sposób bardziej efektowny, niż na scenkach małych. Mają więcej tak zwanego pola do popisu.

W rolach drugoplanowych występują pp. Orska, Niwiński, Fabisiak, Milecki, Kołpikówna, Pichelski, Małkowski. Wyróżnia się w zabawnym epizodzie p. Zbigniew Koczanowicz.

Publiczności przedstawienie podoba się bardzo. Galerja oklaskuje każdą piosenkę frenetycznie.

Dekoracje do tego widowiska skomponowała nader pomysłowo p. Lorentowicz-Karwowska. Kostjumy zostały wykonane również według projektu tej utalentowanej malarki.

Orkiestrą dyryguje z wielkim temperamentem a równocześnie z dystynkcją p. Tadeusz Müller. Bardzo fotogeniczny dyrygent.

ZASTĘPCA

ZMARLI

Ś. P. BOLESŁAW JAROSZ

Dnia 18 lipca utonął podczas kąpieli w Mińsku Mazowieckim Bolesław Hubert Jarosz, prezes koła cieszyńskiego Młodzieży Wszechpolskiej i słuchacz Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie.

Tragicznie zmarły ś. p. Jarosz niedawno jeszcze był przedmiotem serdecznego zainteresowania ze strony społeczeństwa: w czerwcu tego roku ranił go na ulicy Cieszyna żyd z Trumpeldoru. Cios był ciężki, jednak nie śmiertelny. Napad na ś. p. Jarosza był dla młodzieży i robotników cieszyńskich powodem do wielkich manifestacyj antyżydowskich.

Ś. p. Jarosz pochodził ze znanej patrjotycznej rodziny: dziad walczył w powstaniu 1863 r., ojciec brał udział w ostatnich walkach z bolszewikami.

Ś. p. Bolesław Jarosz należał do najzdolniejszych przedstawicieli młodego pokolenia rolników i rokował duże nadzieje. Cześć Jego pamięci!

OFENSYWA

LATRYNA

NAJULUBIEŃSZĄ wśród niewiast książką kobiecą w Polsce w sezonie letnim 1934 są bezprzecznie Katarzyny Mansfield „Listy", wydane świeżo w znakomitym przekładzie pani Godlewskiej. Mówią o niej, cytują ją, pieszczą się z nią, wracają do niej i bardzo pięknie o niej piszą (J. G., P. A. etc). Popularnej w Anglji Katarzynie Mansfield, „Kass", poświęcili też (po jej śmierci) wiele prac i studjów francuscy literaci, nawet tak zwani Akademicy. A tymczasem paryski tygodnik „*Comoedia*" wyciągnął ostatnio pod światło notatkę z „Pamiętnika" autorki „*Garden Party*" z roku 1918, gdzie jest taka opinia „Kass" o Francuzach, a raczej o Paryżanach, właściwie paryskich autorów dotycząca:

„Przeczytałam, nie mogłam się oprzeć chęci przeczytania, dwie książki Oktawjusza Mirbeau i, sądząc po nich, widzę wyraźnie, że: 1) Francuzi są narodem odrażającym, 2) że ich zgnilizna poprostu śmierdzi do tego stopnia, że już nie chcę do nich nigdy się zbliżać. Są nieludzcy. Zgodnie ze starem, jędrnem wyrażeniem angielskiem, są to makaki".

Tyle Katarzyna Mansfield, autorka prześlicznych „Listów".

Makaki jest to gatunek najlubieżniejszych małp afrykańskich, stale oddających się kopulacji lub masturbancji.

Z odrażającymi Makaki porównała Katarzyna Mansfield Francuzów z r. 1918 *(tempore belli!)* po lekturze staroświecko rozpustnego i rozpuszczonego Mirbeau! A przecież to było jeszcze znośne, przystępne, strawne, możliwe. Dopiero po Mirbeau przychodzi obleśny, bankierski psychognosta Shylokracji zdechlaczy cyneda Proust, obwąchujący latami Lesbijki, a potem latami gnijący w betach, uperfumowany apostoł snobów. Potem dopiero miljoner-komunista, przedrzeźniacz Anatola France'a, obrońca pederastji, „czarujący" myśliciel, snob filozoficzny André Gide, autor „Immoralisty". Potem dopiero utrzymanek Stawiskiego, przyjaciel Bonnaure'a, autor „Chłopczycy", *doux* (słodki)—pacyfista Victor Margueritte, potem dopiero: Anguetil, Meric, Céline, Miriam Harry, J. Kessel, Savoir, Bernstein, młody Rostand, Bourdet i tylu innych.

Już po lekturze możliwego jeszcze starego Fauna, Mirbeau, Katarzyna Mansfield dostała nerwowej, fizycznej odrazy do całego „narodu kogutów i knurów". Cóż dopiero za opinję wydałaby po lekturze tej literatury powojennej, gangrenującej i zarażającej swym przykładem niektóre piśmiennictwa europejskie, to jest doniedawna niemieckie, od niedawna polskie, a również i jej własne, anglosaskie. I cóż dopiero powiedziałaby Katarzyna Mansfield, dostawszy w czerwcu zbiorowy tom *standard work* czeredy Surrealistów, poświęcony apoteozie Violette Nosières, która zamordowała swego ojca „w celu" rabunkowym.

Tak, niestety, Erenburg ma rację! Ostatnio, wyjątkowo, tym razem kaprawy sowiecki żydziuch z fajką, „szpieg Europy", wysłany przez dzisiejszych panów Kremla dla śledzenia gangreny burżuazyjnej... ma tym razem rację w swej książce p. t. „Mój Paryż". Sądząc z licznych recenzyj ten lucyferyczny Skorpion (Słonimer do kwadratu) tym razem utrafił w sedno. „Mój Paryż" nosi nazwę nowa żygowina zdolnego żydowina. I słusznie. To jest już jego Paryż, ich Paryż, Judoparis, w jednem zbiorowisku i Rzym upadający i Aleksandrja (Stawiska) i Carthago i Sodoma razem. Fiołki zarażone syfilisem, syfilis pachnący fiołkami. Literatura tego Paryża cała prawie w kosmatych łapach poczwarnego Antychrysta. Utraciła 40% swego moralnego i artystycznego prestiżu zagranicą, a 60% na wewnątrz. Obliczono to omal ściśle:

„Licząc przeciętny nakład książki 10.000 egzemplarzy, otrzymujemy przy średniej 10.000 dzieł rocznie 100.000.000 egzemplarzy. Wobec tego, że według optymistycznych obliczeń istnieje we Francji około 1.000.000 czytelników książek i że każdy z nich kupuje po 10 książek rocznie, otrzymamy zaledwie 10.000.000 egzemplarzy. Znaczy to, że 90.000.000 egzemplarzy zalega rocznie piwnice wydawców, czyli 27.000 tonn zadrukowanego papieru. Ponieważ średnio książka kosztuje 10 franków, przeto sprzedaje się we Francji rocznie książek za 100 miljonów franków. Z tego autorzy zabierają około 10%, to jest 10 miljonów franków, czyli na autora jednej książki przypada rocznie zaledwie 1.000 franków".

Tak mówi statystyka. Upadek beznadziejny i bezgraniczny, także i finansowy. I te tysiąc franków (przeciętnie) dostaje pisarz, często *pissoir* omal wyłącznie z łap żydowskich. Główne firmy nowoczesne nakładcze same żydy: Alcan, Stock, Rieder, Gallimard, „Librairie du Luxenbourg", „Librairie du Pont de l'Europe", „Librairie Lipschitz", N. L. („Nouvelles Litteraires"), same kapitały żydowskie, same żydy dyrygienty. I te pozwalają płaconym przez siebie kulisom i helotom pisać tylko: komunistycznie, pornograficznie, pacyfistycznie: przeciw armji, przeciw Kościołowi, przeciw burżuazji, przeciw etyce burżuazyjnej, przeciw Japonji, w obronie perwersyj płciowych...

Gide, Proust, Margueritte, w obronie starej makareli Masonerji, w obronie złodziei, Czekistów, (*checque*) szpiegów, fałszerzy pieniędzy, handlarzy żywym towarem, w obronie emigrantów, narkomanów i Mosquieteurów (bolszewików).

W takim Paryżu („moim" mówi Erenburg) rozkwitają takie muchomory jak Frauenstein-Lecache, zięć starej rodziny Sevérine, „prezydent Ligi do walki z antysemityzmem". W takim Paryżu powstaje Komitet *d'action antifasciste et de Vigilance* (Gide, Gachenno, Berl, Bloch, Benda). W takim Paryżu (*ouvert tout la nuit* dla swołoczy ze Wschodniej Europy) wydają odezwy do narodu (z wskazaniami, jak się ma prowadzić) utrzymanki Gallimarda, Riedera i Alcana (Berl, Ex-Crémieux, Maloraux, Braibant, Vogel, Benda, Gachenno, Vildrac, Fernandez, Brunschwicg z „Instytutu", Bloch). W takim zgnojonym przez żydostwo azjatyckie (wschodnio-europejskie) Paryżu idą w cień niełaski (niepopularności) nawet Morand, Giraudoux, nawet Lacretelle, nawet Duhamel, choć obaj, aby trzymać się na powierzchni, liżą się żydom, dając w powieściach sympatycznych parchów („*Jardin des Bêtes Sauvages*") lub przynajmniej w tytułach biblijne imiona („Judyta"). Na pierwsze zaś miejsca wysforowani błyszczą w słońcu chwały (i tantjem): po prawej stronie chytry, fajny, anglomański, torysoski metek Herzog, fabrykant z Elbeuf, znany jako „Maurois" albo taka archikanalja jak ten Kessel.

I oto ten to właśnie Kessel swojem panowaniem w Paryżu usprawiedliwia całkowicie pogląd na Paryż dzisiejszy bolszewilka „Ilji" Erenburga.

Utalentowany rosyjski Surysyn Kessel, po kilku bezdennie świńskich tomach „rajcujących" Paryżan, wydał teraz tom (u Gallimarda) p. t.:

„*L'homme que j'ai counu*".

Przedtem wydał pamiętnik o Stawiskim jego szofer, przedtem jedna z moneciarek, żydowska girlsa, a teraz literat francuski, paryżanin Kessel, żyd z Odessy. W obronie Stawiskiego. Że Sasza Aleksander ze Słobodki pod Kijowem, był przedobry, przemiły, inteligentny, „padł ofiarą" i t. p.

Książka ma pono olbrzymie powodzenie, takie jak Céline, Braibant, dawniej Margueritte, dawniej Mirbeau... a ostatnio tom grupy Surrealistów w obronie morderczyni Violette Nosieres.

Taki jest zewnętrznie Paryż, „mój Paryż" Erenburga. Teraz muszą przyjść do głosu Francuzi. I albo to wszystko wytną do nogi, wybiją w pień, wygniotą, wyduszą, wytracą, wygubią, zdobytą Bastylję Shylockracji tak, żeby jeden Surysyn z gatunku Kessel nie ocalał i nie ukrył się..., no i żeby właściwi, autentyczni Francuzi wrócili do swego Paryża... Albe będzie bardzo źle, bardzo źle z „*Ville Lumiére*".

I wtedy świat nie powie nic innego, jak to, co powiedział wtedy, kiedy zgodził się ze słowami Carlyle'a w r. 1871 (grudzień) w jego słynnym liście do „*Times*'ów" po pogromie.

Mamy nadzieję, że w tym roku pod jesień Francuzi wkroczą do swej przepięknej stolicy z powrotem, i że ją potem dokumentnie oczyszczą. Co więcej, mamy pewność, że tak się stanie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Żyjemy w dobie kompletnego triumfu idej „państwowściowych". Prasa — bez różnicy przekonań politycznych — powtarza z najwyższem uznaniem, że „akcją przeciwpowodziową" kieruje „osobiście" p. starosta, że p. starosta „osobiście" rozstrzyga, gdzie w danej chwili trzeba wzmocnić wały ochronne, a gdzie nie trzeba, że „osobiście", daje wskazówki robotnikom i t. d. i t. d.

Pan starosta jest z wykształcenia prawnikiem. Ale reporterowi, „państwowo" wychowanemu, nieprzyzwoitością wydałoby się pomyśleć, że np. specjalista w zakresie inżynierji wodnej mógłby być — w danej dziedzinie — większą powagą, niżeli nawet.. „osobisty" pogląd... osoby urzędowej...

TREŚĆ:

Locarno wschodnie *St. Zielińskiego.* — Frankiści w wolnomularstwie polskiem *St. Didiera.* — Słuchając A. Siegfrieda... *Wł. Jabłonowskiego.* — Uniwersalizm „dziejowości" *K. L. Konińskiego.* — Wzniosłość w „Panu Tadeuszu" *Ign. Chrzanowskiego.* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Głosy. — Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego. — Nauka i literatura („Nowy podręcznik psychologji eksperymentalnej" *Lambdy* i t. d.). — Teatr *Zastępcy.* — Zmarli. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM